MICHAŁ OGIŃSKI.

Książe Michał Ogiński podskarbi koronny, jest domniemanym kompozytorem słynnych u nas polonezów. Mówimy domniemanym, gdyż niektórzy przypisują te utwory, zamieszkującemu w Siedlcach hetmanowi Ogińskiemu ożenionemu z Czartoryską. Wątpliwość w téj mierze trudno roztrzygnąć stanowczo, gdyż i hetman i podskarbi nosili jedno imię (Michał) i oba byli muzykalni. Ponieważ jednakże po dziś dzień żyjące współczesne im osoby, twierdzą że niezawodnie podskarbi wydał polonezy, więc i my z téj przyczyny poznajamiamy z jego wizerunkiem czytelników Kółka. Jeden ze znawców muzyki, w ten sposób wyraził nam swe zdanie o charakterze kompozycji Ogińskiego. Ogiński w muzyce jest przedświtem Chopena, tak jak w dziedzinie poezji Karpiński był zaraniem Mićkiewicza. Polonezy Ogińskiego rozwijają się na tle wspomnień, w których on wypowiada wszystkie swe uczucia. Pełno tam drobnych ozdób, jak świecideł błyszczących w ówczesnych strojach. Uczucie nie płynić szeroko jak wezbrany potok, lecz się skupia raczéj. Pierwszy taniec jest niejako wstępem do tego co autor wypowiedzieć pragnie, w następnych odbija się ogólny charakter muzyki polskiéj, tchną bowiem rzewnym lecz chrześcijańskim smutkiem i niedopatrzysz tam nigdzie rozpaczy, która dopiero wybucha w ostatnim, pisanym widać w chwilach zwątpienia. Podskarbi koronny jest także autorem Pamiętników o sprawach kraju poczynających się od r. 1788, a zakończonych w roku 1815. Wyszły one po francuzku z czego pan Ogiński tłomaczy się w przedmowie tém, że są to tylko notatki dla dzieci i rodziny zebrane, a że zapisywane były w języku francuzkim, więc skoro go znaglili przyjaciele aby je drukiem ogłosił, tak już pozostać musia-



Michał książe Ogiński i żona jego Izabella z Lasockich, według ryciny ze zbioru H. Skimborowicza.

ły, w podeszłym albowiem będąc naówczas wieku, niemógł podejmować pracy tłomaczenia. Z tego nawyknienia do przelewania na papiér myśli swéj w cudzoziemskim języku, a ciągłych przytém zapewnień o miłości kraju, łatwo odgadnąć żę podskarbi był jednym z tych obywateli co kraj swój niby kochali, lecz niekochali ojczystéj jego mowy. W dalszym ciągu przedmowy tłomaczy się również autor z zarzutu który mu czyniono, jakoby zmieniał często polityczne zdanie. Powiada że zarzut ten wypływa zapewne z przyczyny że chcąc zawsze użytecznym być ziomkom, różnorodne zajmował stanowiska w rozmaitych okolicznościach. Przebiega cały szereg zajęć swoich i tak najpierw był reprezentantem ciała prawodawczego, członkiem izby obrachunkowéj, ajentem nadzwyczajnym wysłanym do Hollandji a potém do Londynu. Następnie znów ministrem skarbu w Litwie i prostym żołnierzem, znów ajentem w Paryżu i w Konstantynopolu, daléj przez lat kilka emigrantem odsuniętym od rzeczy publicznych, a w końcu senatorem w Petersburgu. Wszystkie koleje przechodzone podczas gdy sprawował wyżéj wymienione urzęda, również jak i wypadki ówczesne w kraju, opisuje następnie w czterotomowym Pamiętniku. Z żony Izabelli z Lasockich któréj wizerunek obok męża przedstawia rycina nasza, pozostawił dzieci, z tych trzy córki: Lubomirska, Brzostowska, Załuska i syn ożeniony z Kalinowską.

A. z Ch. Borkowska.

WŁADYSŁAW BIAŁY KSIĄŻE GNIEWKOWSKI.

(Dokończenie.)

XXIV.

Cały dzień upłynął na naradach w Złotorji, względem przygotowania środków obrony; postanowił więc najprzód książe zapłacić wrogom za uknowaną zdradę i kazał przymocować nad bramą ogromną żelazną kratę, którą za danym znakiem mieli spuścić stojący na czatach strażnicy, skoro pierwszy zastęp Sędziwoja lub Fryderyka ukaże się na progu. Serce Władysława Białego zakipiało uczuciem zemsty, którą łatwo zaspokoić mógł w téj dobie, spodziewając się że dowódzcy wyprawy nie unikną ciosu, skoro na czele swych hufców, z ufnością do rozwartéj wjadą bramy. Przezorny książe, wiedział dobrze że zasadzką którą przygotował, nie pokona wrogów, a w razie największego powodzenia, zgładzi tylko dwóch głównych przywódzców i kilku lub kilkunastu ludzi z ich orszaku, gotował się więc do odparcia przeważającéj siły innych wodzów, którzy bezwątpienia niepozostaną bezczynni i zechcą wkrótce pomścić śmierć sprzymierzeńców. W miarę jednak jak stanowcza przybliżała się chwila, chwiał się coraz więcéj w pierwszém postanowieniu, a złowrogie mary zwątpienia opanowały jego serce. Według zeznania Hanki, Fryderyk na Ujściu miał pierwszy ze swym oddziałem wjechać do bramy, a myśl że ojciec jego umiłowanéj Anny ma stać się ofiarą zasadzki, miękczyła serce księcia i odwracała go od raz powziętego zamiaru. Skoro rozważał wszystkie okoliczności, wspomniawszy na miłość jaką miał dla dziewki i na słabą nadzieję wygranéj, tracił odwagę, żałował że wydał srogi rozkaz, który zagrzeje zemstę wrogów, a nieubłaganą nienawiść obudzi w sercu Anny. Kiedy w straszliwéj walce miotał się niespokojny umysł księcia, na nierównéj szali pragnień raz przeważało uczucie dumy i wstydem oblewało jego skronie, to znowu namiętność gwałtowna, dopominając się o swe prawa, zagłuszała w nim głos zemsty i odciągała go z pola mordów i bratobójczéj walki.

Już noc rozłożyła swój płaszcz tajemniczy nad Złotoryjskim zamkiem i księżyc wzbił się nad zawiślańskiemi lasy, a Wła-

dysław biegał długo po wałach, niespokojny, z okiem wytężoném ku stronie nieprzyjacielskiego obozu; to znów zatrzymywał się i słuchał, lub załamując ręce patrzył w ziemię ponuro, jakby dotknięty żądłem wyrzutów sumienia, żałował srogiego zamysłu i chciał odwołać rozkaz spuszczenia morderczéj kraty. Raz widział postać Anny z wyciągniętemi błagalnie rękami, ze łzami w oczach, z wyrazem gorzkiéj wymówki na twarzy, a za chwilę znów inne powstawały przed nim mary i wysuwała się z cieniów głowa nieprzyjaciela, z pogardą w ustach, z groźbą na czole, więc biegał jak szalony i ściskając pięści złorzeczył wrogom, to znów drżał jak dziecko, lub wahał się na drodze czynu, jak ów nieświadomy okolicy podróżujący, przed którym dwie krzyżują się ścieżki. W chwili kiedy Władysław Biały stał jeszcze z założonemi rękami na wale, posłyszał tentent koni i ujrzał wkrótce zbliżających się gońców, których wysłał ku stronie obozu na zwiady; pobiegł chyżo ku bramie i zapytał o wieści. Odpowiedziano mu krótko o poruszeniu zbrojnego ludu pod wodzą Sędziwoja z Szubina i Fryderyka na Ujściu, ten zaś ostatni, według zeznań własnego sługi, pojmanego tego wieczora na czatach, miał najpierwéj wjechać do bramy, bo taka pomiędzy nim a starostą Wielkopolskim stanęła ugoda.

Wysłuchawszy doniesień, książe Władysław wszedł w ciemne korytarze zamku, dążąc ku narożnéj baszcie; zatrzymał się na schodach w zamyślonéj postawie mówiąc: dziś lub nigdy.... dziś ślubne lub krwawe wyprawię gody! Pobiegł potem ku komnacie Anny, chrzęst jego zbroi i odgłos kroków doszedł do uszów dziewicy, klęczącéj z rękami złożonemi do modlitwy. Usłyszawszy niezwykły o tak późnéj porze szelest odwróciła głowę, jak ów jeleń, którego myśliwiec spłoszył nagle w kniei, a jéj wielkie czarne oczy wyraziły podziwienie i trwogę. Rozwarły się podwoje i wszedł Władysław, blady i zachmurzony, z iskrzącym wzrokiem, który zatopił w jéj licu, Anna zerwała się i odskoczyła nagle zakrywając twarz rękami z okrzykiem boleści.

— Nie trwóż się moim widokiem Anno! nie wrogiem ale przyjacielem twym jestem, a na dowód tego przyszedłem u stóp twych złożyć wszystko, me żale, krzywdy i sprawiedliwą zemstę. Tak, mam dziś silną wolę wyrzec się wszystkiego dla ciebie, powiedz jedno słowo, a mój gniew rozbije się natychmiast, jak gwałtowny bałwan morza o bok nadbrzeżnéj skały. Słuchaj! najzaciętsi moi wrogowie, Sędziwój z Szubina i Fryderyk twój ojciec uknowali zdradę i przekupili Hankę, który im wydał klucze od bramy; niespodziewają się oni wcale że wiem o ich zmowie, a więc ciągną już pewnie ku murom Złotorji, z zupełną nadzieją że łacno staną się panami twierdzy, że mnie bezbronnego a śpiącego okują w więzy lub zabiją.

— Mój ojciec, Boże! zawołała załamując ręce dziewica, jakby zbudzona straszną rzeczywistością ze snu ciężkiego.

— Tak, twój ojciec wraz z Sędziwojem ma za chwilę wejść do zamku, ale wcześnie odkryta zdrada, podaje nam środki do ukarania hardych wrogów. Postanowiliśmy w skutku wspólnéj narady okrutną zdradę odeprzeć zdradą....

Tu książe zatrzymał się nagle, jak gdyby nie śmiał dokończyć zaczętéj rozmowy, ale Anna słuchała z natężoną uwagą, więc rozpaczliwym zawołała głosem:

— Dokończcie, co uczynić zamierzacie?....

On milczał ciągle z oczami utkwionemi w ziemię.

— Wiem już, wiem, postanowiliście zabić mego ojca!

— Uradziliśmy ukarać wrogów, którzy knując przeciw nam spiski, sami wpadli w sidła.

— Ach! zawołała ze zgrozą Anna mierząc śmiałém okiem stojącego przed nią ze spuszczoną głową Władysława, który podobny był do winowajcy, oskarżającego się przed sądem. Wy chcecie go zabić książe, chcecie zamordować mego ojca!

Podniósł on głowę, a widok oblicza dziewicy, w którém najsprzeczniejsze uczucia zgrozy, wyrzutu, to znów boleści i błagalnéj modlitwy odbijały się naprzemiany, wzruszył dumnego księcia, była ona bowiem dziwnie piękną w téj chwili, rozpromieniona nadziemskim wdziękiem, niby aureolą niebieskiego światła.

— Obronię go Anno! zawołał z iskrzącém okiem Władysław Biały; nie chcę i nie chciałem go zabić; on sam napisał wyrok na siebie, działając za jedno z memi wrogami. Prawda że zgodziłem się na ukaranie nieprzyjaciół, którzy czychają na moją zgubę, ale skoro minęła chwila pierwszego szału i gniewu i pomyślałem że pomiędzy temi, którzy mają paść ofiarą spawiedliwéj zemsty, znajduje się twój rodzic, chwieję się w postanowieniu i gotów jestem groźny odmienić wyrok. Powiedz jedno słowo, a wyrzeknę się mych zamiarów, poniżę się nawet w obliczu wrogów, którzy urągać będą z méj słabości; ale czas ucieka i nagli do pośpiechu, powiedz, czy chcesz ocalić twego ojca?

— Ocalcie go przez litość nad biedną sierotą; wierzajcie, że chętnie życie moje oddałabym za niego!

— Anno! żadnéj nie wymagam ofiary; powiedz jeno że mię miłować będziesz i połączysz się ze mną ślubnym pierścieniem, a w téjże chwili odwołam wyrok straszliwy, ucieknę z tobą z tego zamczyska, zakupię w obcym kraju na prawie hołdowniczém ziemię, a nie marząc już o koronie ani o utraconém księstwie, żyć będę z tobą szczęśliwy.

— Więc chcecie odemnie tego, czego ani ja wam dać wcale nie mogę, ani wy, jako związani ślubem zakonnym, żądać nie macie prawa?.. Boże mój! wy naigrawacie się z biednéj dziewki!

— Nie jestem zakonnikiem lecz rycerzem i księciem; nosiłem wprawdzie kaptur mnicha, lecz nie odebrałem święceń kapłańskich, a uwolnienie zupełne od ślubów zakonnych otrzymam wkrótce, bo król poprze moją u Papieża prośbę, skoro się przekona że nie myślę dobijać się o koronę i wyrzekam się na zawsze sporów. Ale mówię, czas nagli, nie zwlekaj bo może być zapóźno; powiedz że chcesz ujść ze mną, za to, wyrzeknę się pomsty i nadziei zwycięztwa, zdradzę własną sprawę i ocalę wrogów.

— Mało naprawdę żądacie, z goryczą zawołała Anna, chcecie ażebym złamała wiarę i zabiła duszę.

— Chcę ocalić twego ojca i pragnę byś na zawsze była umiłowaną moją.

— Nie, nie, nigdy! przysięgam...

— Nie przysięgaj!.. wykrzyknął Władysław Biały, a objąwszy wysmukłą kibić dziewicy, pociągnął ją do okienka komnaty. Lampa dogorywała prawie, ale srebrny snop księcowych promieni roztaczał szeroką strugę światła, przysłaniając zbroję rycerza i blade oblicze Anny.

— Widzisz żelazną kratę, która wystaje nad bramą, zawołał wskazując ręką, spadnie ona na głowy wrogów, może nawet na głowę twego ojca, skoro nogę postawi na progu, bo rozkazałem strażnikom aby tak ukarali zdrajców którzy pierwsi pokuszą się wejść do warowni. Jedna, niedługa pozostaje chwila, powiedz, że przystajesz na moje żądanie, a odwołam natychmiast wyrok, każę zamknąć bramę i postawię przy niéj czaty, tymczasem zaś ujdę z tobą podziemnym lochem.

Słuchała dotąd w niemém osłupieniu Anna, ale kiedy ostatnie książe wymawiał wyrazy, podniosła rękę, jakby wzywając na świadectwo niebo i silnym głosem zawołała: nigdy!

— Więc zginie twój ojciec i będziesz winną jego śmierci!

— Oddam życie za niego, ale nie oddam duszy.

— Ty i twój ojciec żyć będziecie, jeno powiedz, że mię poślubisz, błagam cię o to Anno, nad to słowo niczego więcéj nie żądam od ciebie.

— To słowo jest klątwą, okrutną klątwą, o, Boże! ratuj mię i dodaj siły.

— Jestem ratunkiem i twoją pomocą, oddam wszystko za ciebie i za miłość twoją.

— Za miłość!.. nie, nie! powiedzcie raczéj za klątwę wieczną. Nie, okrutny książe, Bóg mię tak ciężką nie skarał ślepotą, jam przytomna jeszcze, próżne są wasze sidła i pokusy.

— Dość, dość Anno! jedna chwila zwłoki, a sroga za twój upór dotknie cię kara. Czy słyszysz tętent koni i chrzęst zbrojnego ludu?.. patrz, patrz, już stoją przed bramą, a ten rycerz wyniosłéj postawy na czele, to pan na Ujściu, Frederyk Wedel twój ojciec! Spojrzyj i powiedz, czy nie namyśliłaś się jeszcze, bo żałować będziesz zapóźno, skoro twój rodzic już zginie.

Rzuciła obłąkanym wzrokiem Anna ku wskazanéj stronie i odskoczyła gwałtownie, zakrywając twarz rękami.

— Litości, błagam litości dla niego! zawołała z rozpaczą rzucając się do nóg księcia, będę waszą sługą i niewolnicą, ale zmiłujcie się panie, niechaj mój ojciec żyje!

— Dobrze, byleby nie było już zapóźno, odrzekł Władysław Biały i wybiegł pospiesznie z izby, w zamiarze cofnięcia wyroku, ale zaledwie stanął w zamkowém podwórzu, rozległ się ogromny łoskot, niby huk walącego się dębu i książe stanął jak wryty i krzyknął: za późno! a huk ten odbił się o uszy Anny i ozwał się w jéj duszy gromem.



Widok konającego młodzieńca, niby złowieszczą wróżbą przeraził rycerza-księcia.

XXV.

Skoro wieść o smutnym losie Fryderyka na Ujściu, który zginął wraz z kilku rycerzami w bramie Złotoryjskiego zamku, przekonała Sędziwoja o odkryciu przez księcia Władysława uknowanéj zdrady, nie pokusił się téj nocy o zdobycie warowni, ale cofnął swój oddział i wrócił się z nim do obozu. Nazajutrz wieść o śmierci zacnego rycerza obiegła szybko pomiędzy rycerstwem, a Kazimierz książe Dobrzyński i Bartosz z Więcborga starosta Brzeski głębokim przejęci byli żalem i nie szczędzili wyrzutów Sędziwojowi, za to że pomimo ich wiedzy uczynił tak szaloną wycieczkę, a zaufany w słowie młynarza Hanki, odważył się ze szczupłym swym hufcem zdobywać warownię i nic nie zdziaławszy przyprawił o śmierć najdzielniejszego z towarzyszów boju. Sędziwój odpowiadał z początku dumnie na czynione mu zarzuty, dowodząc że ma upoważnienie od króla by poskromił bunt Władysława Białego i że nikomu ze swych czynności nie ma zdawać sprawy. Następnie jednak uczucie wstydu i gniewu pokrył hardy starosta chytrym uśmiechem, złagodził oburzenie sprzymierzeńców pochlebnemi słowy, nawet na zakończenie sporu uścisnął dłoń Bartosza, choć w głębi serca długą zaprzysiągł mu nienawiść. Starosta Brzeski nie mógł również zapomnieć Sędziwojowi zamierzonego podejścia, a szczególny żal miał do niego za śmierć rycerza Wedela, ojca umiłowanéj Anny, ale cel wspólnéj sprawy nakazywał mu pomiarkować gniew swój, by wróg książe Gniewkowski nie skorzystał z ich zatargów. Nadeszły w tym dniu oczekiwane starosty Sochaczewskiego posiłki, nie odwlekając więc dłużéj, postanowili wodzowie zgodnie rozpocząć działanie i zmusić do poddania Władysława Białego, lub zburzyć i opanować twierdzę.

Kiedy w samo południe ciągną liczne hufce sprzymierzonych wodzów pod mury Złotorji, w zbrojowni tego zamku siedział zamyślony, z podpartą rękami głową książe, a przed nim stał młody giermek, który się mienił być synowcem Ulrycha. Młodzieniec znany już z opowiadania, snać niedawno wszedł do komnaty i zdał się oczekiwać na rozkazy pana, bo niespokojnie błękitném wodził okiem i przechadzał się od czasu do czasu, to znów zatrzymywał się nagle, jak gdyby chciał zwrócić na siebie uwagę zagłębionego w dumaniach księcia, który spostrzegł go w końcu i zagadnął prędko.

— Wróciłeś już chłopcze i spełniłeś co ci poleciłem?

— Byłem w Gniewkowie i sprawiłem wszystko według waszego rozkazu, ale nic ztamtąd dobrego wam nie przynoszę.

— Co mówią Gniewkowianie?

— Mówią różnie, niektórzy wielką ku wam oświadczają miłość, innym znów strach usta zamyka na samo wspomnienie królewskiego gniewu, ale co najgorzéj, że nikt z nich działać nie chce.

— Zdradzają mię łotry!

— Dowódzca załogi nic na wasze nie odpowiedział pismo.

— Jakto? czy i on także mię zdradza?

— Nie wiem miłościwy panie, bo to mi powiedział jedno, abym wracał czem prędzéj do Złotorji, bo starostowie wielkie zgromadzili siły i wszędzie porozstawiali czaty i że panowanie wasze pono wkrótce się skończy.

— Niegodziwy! porozumiał się zapewne z wrogami i zdradza mię podle. Co więcéj jeszcze mówili tam o mnie?....

— Nic nie słyszałem więcéj, bo pachołkom, którzy mię strzegli w drodze, spieszno było wracać do Złotorji, więc bawiłem nie długo, choć z tego, o czém dowiedzieć się w tak krótkim czasie mogłem i zmowy gniewkowskiego dowódzcy, nic dobrego nie wróżę.

— Zdrajcy, spiskują na moją zgubę.... O! radbym przynajmniéj odpłacić im za niewiarę, podnosząc z groźbą rękę, rzekł książe.

— Czy nie rozgniewacie się książe, skoro wam wypowiem szczerze, to co mam na sercu i w myśli? zapytał giermek błagalnie wznosząc ku panu oczy.

— Mów co chcesz mój chłopcze, nie powinieneś obawiać się mię wcale, wiedząc, jako miłuję cię wielce.

Twarz giermka spłonęła rumieńcem, spuścił w ziemię oczy, a skoro spojrzał znów na księcia po chwili, świeciły łzą jego źrenice i składając ręce z wdzięcznym rzekł uśmiechem:

— Wrogowie nasi znaczne dziś otrzymali posiłki, niezawodnie wkrótce uderzą na Złotorję, a ilością zbrojnego ludu przewyższają naszą załogę ogromnie...... Nie spodziewacie się książe żadnéj pomocy, a nie możecie ufać zbytnie nawet własnym sługom, którzy w Złotoryjskim zamku przy waszym znajdują się boku... Wierzajcie mi panie, że tak myślą i prawią wszyscy, którzy miłują was najwięcéj, a taką podają radę, byście z wiernym ludem ustąpili ztąd jak najprędzéj, a oszczędzicie krwi niewinnéj i ocalicie drogie życie wasze!

— Nie, nie, mój chłopcze, dzielny rycerz przed groźbą śmierci nie ustępuje bez zdobyczy. Ja także myślałem niedawno opuścić twierdzę i oddać dobrowolnie me zamki i ziemie, ale wtedy cel inny i zdobycz miałem na oku którą posiąść chciałem.... dziś nic nie wiąże mię z życiem, a więc jeśli poddać mi się wypadnie, to poddam się przynajmniéj z chwałą! To rzekłszy uśmiechnął się Władysław Biały i poufale uderzył po ramieniu giermka, który zadrżał i pochylił się nagle, więc widząc jego pomieszanie, łagodnym głosem tak mówił daléj:

— Jesteś tak jeszcze młody i niedoświadczony, więc nie dziwię się wcale, że obawiasz się widoku wojny i drżysz na myśl mordów, które mają nastąpić wkrótce; ostrzegałem cię wcześnie i przepowiadałem co cię spotkać może, ale byłeś uparty i nie chciałeś mię posłuchać. Wdzięczny za twe dobre chęci i usługi uwalniam cię mój chłopcze, pod dobrą strażą wyprawisz się z twierdzy; gdybyś przypadkiem napotkał mych wrogów, nie masz się czego lękać, gdyż jesteś synem Dobrogosta, który nieprzeniewierzył się dotąd królowi.

Lice giermka zapłonęło znów żywym rumieńcem, a wznosząc wielkie błękitne oczy odparł po chwili błagalnym głosem:

—Dopóki książe nie ustąpicie z tych murów, dozwólcie mnie pozostać z wami; nie myślcie, by widok wojny mię trwożył, radziłem wam wprawdzie ażebyście porzucili tę sprawę, bo chciałem wasze ocalić życie....

— Miły chłopcze! odparł z uśmiechem Władysław, nawykłem do trudów i wojny.... ale zkąd czerpiesz taką ochotę i siłę, byś pragnął odkupić ciężki żywot starego rycerza, kosztem twéj wdzięcznéj młodości?

— Nie odpychaj mię panie, zawołał giermek składając ręce, pozwól, niech los twój z tobą podzielę, oto jedyna nagroda, jakiéj żądam za wierną choć nieudolną służbę moją......

Kiedy książe miasto odpowiedzi uścisnął dłoń młodego giermka i patrzył z wyrazem litości na zarumienioną twarz jego, rozwarły się nagle podwoje z łoskotem i wbiegł rycerz Zbigniew uzbrojony od stóp do głowy, wołając: wróg już podsunął się pod wały twierdzy, a liczne gromadzi zewsząd zastępy; Kazimierz książe Dobrzyński, Sędziwój z Szubina i Bartosz z Więcborga stoją na ich czele!...

— Spodziewałem się tego, odrzekł zimno książe, wszak nasi rycerze w pogotowiu dawno stoją na wałach i niecierpliwie oczekują hasła do boju.

— Najmężniejsi, którym ufać możemy śmiało, stoją z kopijami i mieczami w ręku i chciwie oczekują spotkania i starcia się z wrogami, baszt i murów wprawni strzegą łucznicy, a podejrzanych o zdradę zamknął Jurko w lochu....

— Dobrze, że wczas nadchodzą, kilka godzin pozostaje nam jeszcze do wieczora, więc żwawo zabierzmy się do dzieła! zawołał Władysław Biały, pośpiesznie wkładał i przywiązywał zbroje, a przypasawszy miecz do boku, wybiegł z iskrzącém okiem, z opromienioném licem, jakby w dniu świątecznym tryumfu lub skonu.

XXVI.

Już nad zachodem słońce ogromne, czerwone zataczało koło, a pod Złotoryjskim zamkiem wciąż trwał bój zacięty i krwawy. Potrzykroć kusili się nieprzyjaciele o opanowanie narożnéj baszty, bądź wdzierając się po drabinach, bądź za pomocą machin wyłamując mury, ale oblężeni bronili się upornie i za każdym razem odpierali napastników, rzucając grad kamieni z góry i lejąc gorącą smołę na ich głowy. Kiedy najmężniejsi, upatrzywszy mniéj obronne miejsce usiłowali wdrapać się na mury, wtedy wódz załogi, czuwający wszędzie ostrzegał o niebezpieczeństwie, a na głos jego biegli obrońcy ku zagrożonéj stronie i w ręcznych zapasach z wrogiem bój toczyli srogi; tu i owdzie rycerz jak wąż obwinął rycerza i dusił go w krwawym uścisku, a w chwili skonu spadali tak spojeni z murów na ziemię, jakby zrządzeniem szyderczego losu który ich rozdzielał za życia. Czujnym tym wodzem, który biegał wszędzie i wydawał rozkazy, był książe Władysław Biały i równie słowem jak czynem dodawał serca obrońcom. Już skruszył dwie kopije, więc ze złamaném drzewem w jednéj, a z żelaznym hakiem w drugiéj dłoni, rzucał się pierwszy śmiało wszędzie, gdzie największe zagrażało niebezpieczeństwo; zbroczony krwią i okryty kurzem podobny był więcéj do strasznego upioru niż do żyjącéj istoty.

Oblegający zrobili wyłom w murze, obok narożnéj baszty, a najmężniejsi z nich rzucili się najprzód i spotkali silny przy wstępie opór, bo sam książe bronił przejścia, a bił się jak lew i był niezwalczony, tam powalił na ziemię za jednym zamachem wroga, to znów łamał lub wytrącał z rąk kopije, a chociaż nie jedna strzała, świsnęła mu po nad głową, żadnéj dotąd nie otrzymał rany, jakby otaczała go moc czarodziejska niewidzialnéj opieki. Padła garstka mężnych, którzy usiłowali pierwsi wdzierać się do twierdzy, inni, którzy postępowali za niemi strwożeni cofnęli się pośpiesznie, próżno Sędziwój z Szubina, wódz ich, zaklinał, ażeby korzystając z uczynionego w murze wyłomu nieodstępowali nikczemnie, lecz daléj torowali sobie drogę do nieochybnego zwycięztwa. Gdy hufiec Sędziwoja pokonany dzielnością księcia Władysława odstąpił ze wstydem, z drugiéj strony twierdzy liczne zastępy pod dowództwem Bartosza z Więcborga w połą-

czeniu z hufcem Kazimierza Dobrzyńskiego i innych pomimo gęstych strzałów, któremi witali ich łucznicy z baszt i z wałów, podeszły pod bramę mimo ognia. Starosta Brzeski i Kazimierz Dobrzyński dodali rycerskim sercom ochoty, bo z nagiemi mieczami w rękach rzucili się najpierwsi na czele szeregów, zakryci tarczami od gradu pocisków. Władysław Biały widząc nowe zamiary wrogów postawił czaty przy wyłomie a sam pobiegł do bramy, dostrzegłszy bowiem z wału wodzów wyprawy zapalił się chęcią spotkania z niemi mianowicie z Bartoszem z Więcborga, który zawsze i wszędzie ścigał go jak złowroga mara.

— Podajcie mi tarczę, zawołał grzmiącym głosem, podał mu ją nieodstępujący go giermek młody z gorączkowym na licu rumieńcem.

— Nie wiedziałem, że stoisz za mną, rzekł książe, powiedz mi, czy dawno nosisz tę tarczę?

— Od początku boju czekam na wasze rozkazy.

— Azali cię nie trwoży świst strzał i huk dział ognistych?

— Nie, nie! gdy blizko was jestem, żadnéj nie doznaję obawy.

— Nie umiesz jeszcze wprawnie władać kopiją ani mieczem, cóż więc poczniesz jeżeli wróg napadnie na ciebie.

— Będę się bronić! zawołał młodzieniec i uderzył o rękojeść krótkiego miecza który miał przypasany do boku.

Książe uśmiechnął się i uścisnął giermka, którego oczy dziwnym wtedy świeciły blaskiem, lubo drżał cały pod wpływem silnych wzruszeń i niezwyczajnego trudu.

Słońce zaszło, lecz zmrok nie zawiesił krwawego boju, owszem w miarę zbliżającéj się nocy wzmagał się zapał rycerzy, a Bartosz z Więcborga rozdzieliwszy swe roty, nacierał z obu stron głównéj bramy i zalecił innym wodzom, ażeby jednocześnie szturm przypuścili, rozrywając i osłabiając tym sposobem przerzedzone już znacznie siły Gniewkowskiego księcia. Za danêm hasłem Brzeskiego starosty z świstem strzał a hukiem machin i taranów waliły się zastępy jak fale morza, bijące o nadbrzeżną skałę.

Jak lew broniący swego łożyska, gdy widzi że nie sprosta potężniejszym i nierównie liczniejszym wrogom, rzuca się z rozpaczą na wszystkie strony, by w rozpaczliwym ostatnim boju, nasycić mógł żądzę zemsty i zginąć przynajmniéj z chwałą, tak Władysław Biały biegał z okrwawionym mieczem, kierował machiną lub wypuszczał strzały, wytężając wzrok swój i usiłując powalić na ziemię choć jednego z wodzów. Los jednak zachował księcia w téj bitwie od grożącéj mu śmierci, raz kamień odbił się o jego szyszak, znów strzała prześliznęła się około zbroi, ale cios wymierzony w jego serce przeszył obok stojącego giermka, który padł z jękiem u stóp swego pana. Widok konającego młodzieńca, niby złowieszczą wróżbą przeraził rycerza-księcia, stanął nagle jak wryty w bolesnéj zadumie, wkrótce jednak ocknął się z chwilowego osłupienia i skinął ręką na sługi by ponieśli rannego do zamku, poczem wziął się znów do obrony i nieutrudzony walczył bez wytchnienia. Ale zmrok gęsty zasłał okolicę i noc pomimo woli rozdzieliła walczących; nim wodzowie wyprawy zgodzili się na odłożenie boju do dnia jutrzejszego, który im obiecywał niezawodny tryumf i zdobycie twierdzy, książe Kazimierz Dobrzyński rycerz waleczny, potomek królewskich Piastów padł, ugodzony w głowę kamieniem.

Kiedy ucichła wrzawa bitwy, Władysław Biały stał jeszcze długo na wale przy księżycowym blasku w pochylonéj postawie oparty na mieczu, rozmyślał o przygodach dziennych, obliczając ciężkie straty, przewidywał smutny koniec powtórnéj wyprawy i przeklinał los srogi, który mu obcina skrzydła i niedozwala podnieść się wysoko.

Nagle przerwał dumanie pana pachołek, który biegł szybko a zbliżywszy się do niego zawołał: Książe, książe, ten ranny giermek, którego uprowadziłem z bitwy jest dziewką!

— Co mówisz, zkąd ci przyszła myśl taka?...

— Sam to wyznał bijąc się w piersi i bolejąc srodze, że nie ma w zamku księdza, któryby go wyspowiadał; żal bierze spojrzeć na biedną dziewczynę bo płacze

nieboga i załamuje ręce, a pono niezadługo umrze, bo ciężko raniona.

— Więc to jest prawda, rzekł z podziwem książe; a potem gdy mu stanął w myśli obraz Jadwigi i nadzwyczajne do niéj podobieństwo giermka, rzekł niby zapytując sam siebie: byłażby ona córą Ulrycha?

— Opowie wam sama swe przygody jeśli nawiedzicie ją przed skonem, o co błaga.

— Dziwne zaprawdę, byłoby zrządzenie losu, gdyby córka zdrajcy Ulrycha była tą nieszczęsną ofiarą! zawołał Władysław Biały i pobiegł śpiesznie do wskazanéj przez pachołka komnaty, w któréj ranny giermek spoczywał.

Obok zbrojowni była izba, którą niegdyś za rządów starosty Krystyna gościnną zwano, dębowe łoże, stół na środku, ławy do koła, a drewniana rzeźba na ścianie z wyobrażeniem męki Chrystusa, stanowiły całą jéj ozdobę. Lampa płonąca z boku oświecała bladą twarz wychylającą się z pościeli, cichy jęk rozległ się w komnacie, gdy Gniewkowski książe z okiem osłupiałém stanął w progu, nieśmiejąc postąpić daléj.



A twarz jéj oblekła się mgłą siną i stała się martwą.

— Chciałam pożegnać was! ozwał się z głębi głos dziewczyny drżący i słaby.

— Jadwiga! byłażbyś Jadwigą? zawołał Władysław zbliżając się do niéj.

— Dziwicie się temu panie?... czyż nie poznajecie dotąd że jestem tą samą Jadwigą.... którą widywaliście ongi... na dworze ojca mego Ulrycha... odrzekła słabymi urywanym głosem.

K. D. Sierpień 1864.

— Nie odgadłem tego... lecz jakiż zły duch nasunął ci myśl narażania się na śmierć?...

— Ten sam, który sprawił, że umiłowałam was panie...

— Nieszczęsna, niepotrzebnie zmarnowałaś młodość twoją!

Dziewica podniosła głowę, oczy jéj dziwnym jaśniały blaskiem gdy mówiła ze smutnym uśmiechem.

— Chciałam was ostrzedz i wybawić, ale pogardziliście mą radą, jak teraz gardzicie ofiarą.... O! nie pytajcie mię już o nic więcéj, bo srogą była boleść moja więc śmierci się nie boję, a młodości i życia nie żal mi wcale...

Skłoniła znów głowę ku poduszce, z cichym, bolesnym jękiem, a twarz jéj oblekła się mgłą siną i stała martwą, jak powierzchnia zlodowaciałego jeziora.

Książe zadrżał na ten widok, ukląkł, jak gdyby nieznaną popchnięty siłą, a w téj kornéj postawie pozostawał długo, dopóki jeszcze konająca dziewica, wymawiając od czasu nie zrozumiałe wyrazy, dawała oznaki życia.

XXVII.

Słońce wschodziło znowu rumiane i wesołe nad żyjącemi i umarłemi, a wodzowie wyprawy uszykowali hufce i z pewną nadzieją zwycięztwa stanęli gotowi do bitwy pod wałami twierdzy. Mieszkańcy Złotoryjskiego zamku, wierni jeszcze Gniewkowskiemu księciu, smutnie powitali wscho-

dzący ranek; najdzielniejsi z przywódzców Jurko i Zbigniew gniewkowianie, polegli téj nocy, uczyniwszy wycieczkę po za obrębem twierdzy, otoczeni zewsząd przeważną siłą wrogów; wraz z garstką mężnych, zapieczętowali krwią swoją, wierną służbę pod chorągwią Władysława Białego. Niepowodzenie ostatniéj rozpaczliwéj wycieczki, smutne wypadki dnia wczorajszego, nieomylną wróżąc mu zgubę, złamały umysł księcia, który przemyśliwając o poddaniu, postanowił jednak wyjść z zamku z orężem w ręku, jako dzielnemu wojownikowi przystało. Znał on dobrze szlachetny umysł starosty Bartosza, wiedział jako męztwo a poczciwa sława w wielkiéj u niego jest cenie, więc wyprawiając do niego gońca z wiadomością o postanowieniu oddania mu twierdzy, położył za konieczny warunek, ażeby mu dozwolił wyjechać z bramy na koniu i w zbroi i aby on sam Bartosz z Więcborga rozprawił się z nim w pojedynku rycerskim.

Rozważając bezowocny koniec długiéj i uporczywéj walki, z goryczą wspominał książe zdradę mniemanych przyjaciół, więc zaprzysiągł w dniu ostatnim pomścić się przynajmniéj swéj krzywdy na więźniach, którzy wpadli w jego ręce, a mieli zmowy z wrogiem. Oprócz Hanki był w owéj liczbie zięć tegoż i dwóch pachołków księcia. Uczyniwszy rozporządzenie względem poddania warowni, lub obrony na wypadek gdyby Bartosz nie przyjął jego warunku, Władysław zawołał groźnie z progu baszty: Zanim oddam klucze zamku wrogom, niech zginą pierwéj główni sprawcy zdrady Hanko i zięć jego! poczem w pośrodku podwórza rozkazał ułożyć stos ogromny i wyprowadzić winowajców z więzienia.

— Dziś stanowcza dla mnie zbliża się chwila, rzekł potem w duchu. Zginę, lub wyrzec się muszę dawnych zamiarów moich. Niektórzy z mych wrogów, zapieczętowali krwią swoją tryumf téj chwili; zginął Fryderyk pan na Ujściu, a Kazimierz książe Dobrzyński ciężko raniony; Bartosz musi rozprawić się ze mną, a pojedynek rycerski roztrzygnie nasze zatargi; jeden Sędziwój z Szubina wychodzi bezpieczny z walki, kiedy inni nadstawiają głowy, jakby piekło nad nim rozciągnęło swą opiekę. On jeden, wróg mój największy uniknął zasadzki, kiedy wspólnicy jego padli ofiarą sprawiedliwéj zemsty; on jest biczem Bożym, narzędziem krzywd mi zadanych i poniżenia, które mię czeka!.. więc niechaj zginą za niego zdrajcy, pomocnicy chytrych jego zabiegów i niecnych knowań, niech zginą w powolnym ogniu; niech w ich jęku i trzasku syczących płomieni nasycę pragnienie zemsty, która mię pożera, na wspomnienie ochydnego imienia tego starosty!

W téj chwili przyprowadzili słudzy dwóch powiązanych więźniów.

— Patrzcie, podłe gadziny! zawołał gniewnie Władysław Biały; patrzcie zdrajcy a wspólnicy Sędziwoja z Szubina, na tym stosie nie zadługo wyzioniecie waszą nędzną duszę; wzywajcie teraz pomocy piekła lub waszego starosty, skoro płomienne języki lizać i zwolna pożerać was będą! To powiedziawszy dał znak oprawcom ażeby położyli więźniów na stosie.

Okrzyk błagalny dobył się z piersi skrępowanych winowajców, książe patrzył bez wzruszenia na przygotowania do krwawego czynu, bo umysł jego szalał i serce było głuche w napadzie namiętnego gniewu. Oprawcy dobrze przymocowawszy więźniów, podpalili z czterech stron jednocześnie stos suchego drzewa; ozwał się trzask w téj chwili a coraz wyżéj ogniste pomykały języki, potem kłęb dymu wyskoczył jako słup ciemny i wzbił się nad zamkiem, w końcu, wśród syczącego płomienia, który już objął stos cały, rozległ się jęk przeraźliwy nieszczęśliwych ofiar i ujrzał książe w ogniu rękę Hanki wzniesioną ku niebu, gdy z piersi konającego okrzyk wydobył się ostatni, który może był groźbą i klątwą rzuconą na morderców, a może przeciwnie, ostatniém błagalném wołaniem, modlitwą do Boga!

— Za taką zbrodnię, sprawiedliwa spotkała ich kara! zawołał Władysław Biały zwracając się do przytomnych; tak niech giną zdrajcy! niech w dniu sądnym ziemia z pogardą wyrzuci ich popioły!

XXVIII.

Wkrótce po spełnieniu czynu zemsty nad młynarzem i jego zięciem, odebrał

książe odpowiedź na podane przez niego warunki, względem oddania zamków Złotorji i Gniewkowa w ręce sług króla Ludwika. Bartosz z Więcborga oznajmił że skłania się do żądania Władysława Białego i że za chwilę w licznym poczcie rycerzy wyjedzie z obozu, a stanąwszy przed bramą, da hasło przez trębacza i czekać będzie na jego spotkanie. Usłyszawszy tak pożądaną odpowiedź pobiegł książe do zbrojowni po najświetniejszy szyszak i najlepszą kopiję, ale zaledwie stanął na progu i rzucił okiem na drzwi sąsiedniéj izby, pobladł nagle, opuścił oczy i machnął ręką, jakby chciał złowrogie odgonić widma, ale po chwili gwałtownego wzruszenia spokojne uczucie smutku osiadło na jego czole i cichym rzekł głosem: „noc pełna nieszczęsnych przygód i ten burzliwy ranek tak zagłuszył mię srodze, że zapomniałem o losie umarłéj wczoraj w oczach moich dziewki..... to niegodnie i nie po rycersku, boć ona miłowała mię najwięcéj i kosztem życia swego odkupić mię chciała; dzień dzisiejszy może też dla mnie jest ostatni, ale wyjść ztąd nie mogę, niepożegnawszy zmarłéj i nie odmówiwszy nad nią pacierza.“ To powiedziawszy wszedł cicho do izby, jakby obawiając się zgwałcić uroczystą jéj ciszę, stanął nad łożem Jadwigi, która piękną była jeszcze, choć z bladością śmierci na czole, a kiedy promienie słońca padły na jéj lice, zdało mu się że uśmiecha się słodko, niby w pośmiertnym blasku. Książe złożył ręce jak do modlitwy i zadumał się głęboko, przez chwilę, dopiero gdy go doleciał głos trąby ocknął się nagle, a zrobiwszy znak krzyża przywdział szybko połyskującą zbroję, włożył szyszak z pysznėm piórem na głowę, a pochwyciwszy kopiję wstrząsnął nią silnie po trzykroć i zawołał: „już umarłych nie wskrzeszę i straconéj nieodzyskam sprawy, pozostaje mi jedna jeszcze własność, moje imię i rycerska sława, téj bronić będę do końca, dopóki ręka włada jeszcze kopiją a w piersiach serce uderza.“ Z iskrzącém okiem, zbiegł na podwórze wołając: konia, podajcie mi konia! Skoro pachołcy przyprowadzili czarnego jak kruk rumaka, dosiadł go żwawo i pośpieszył naprzeciw Bartosza. Po za obrębem wałów zatoczył ogromne koło tłum zbrojnych rycerzy, którzy wraz z Sędziwojem z Szubina mieli wejść do twierdzy i zająć ją w imieniu Ludwika króla, z murów zaś zamku patrzeli wojownicy którzy wiernie walczyli do końca pod znakiem Gniewkowskiego księcia, a z okienka wieżycy wyglądała postać żałobnie ubranéj, zapłakanéj niewiasty; była to Anna która z trwogą w sercu i modlitwą na ustach, oczekiwała rozwiązania sprawy.

W odległości dwustu kroków od przeciwnika zatrzymał się książe; za danėm hasłem dwaj zapaśnicy zniżyli kopije, dali bodźca rumakom, które w gwałtownym pędzie wyciągnęły się jak struny i starli się rycerze, a zaszeleściały zbroje i kopija wali o kopiję; znów Gniewkowski książe zawraca zwinnego konia, który zatacza półkole, a pan jego korzystając z nagłéj stanowiska zmiany, chce w bok ugodzić przeciwnika, ale Bartosz postrzegł się wcześnie i odpiera cięcie wroga, a podniosłszy z nadzwyczajną szybkością swą kopiję w górę uderza silnie w ramię Władysława i wysadza go z siodła. Upadł książe z jękiem na ziemię, a nurzając się w prochu i brocząc we krwi wołał na przeciwnika, który na znak zwycięztwa potrząsnął wesoło włócznią:

— Dobij mię Bartoszu! niech na nędzę a hańbę moją nie patrzę już dłużéj... dobij mię, bo przysięgam że cię pokonać i zabić chciałem.....

— Nie, nie, ty żyć będziesz, na Boga!.. prawy rycerz nie łaknie krwi pokonanego nieprzyjaciela.

— Ty szydzisz ze mnie, szydzisz z méj hańby!

— Nie! odrzekł znów Bartosz; zsiadł z konia i zbliżył się do rannego Władysława: nie, jako Bóg żywy!... szydzę jeno z fałszu ludzkiego a zdrady i dodał po chwili wyciągając rękę: kto nie ucieka jako tchórz podły a po rycersku sprawia się w dziele, ten nie jest już moim wrogiem, więc dajcie mi na znak zgody rękę waszą, zacny książe.

Władysław Biały milcząc uścisnął dłoń starosty z ciężkiem westchnieniem i usiłował powstać, ale zaledwie podniósł głowę wydał jęk bolesny i chwycił za lewe ramię niby chcąc krew zatrzymać, która obfitym

strumieniem płynęła z rany. Bartosz z Więcborga rozkazał natychmiast zanieść księcia do zamku i opatrzeć jego ranę. Skoro zaś oddał Sędziwojowi klucze od Złotoryjskiego zamku, pobiegł spiesznie po schodach do narożnéj baszty, w głębi któréj smutna i drżąca oczekiwała Anna.

XXIX.

Od chwili okropnego skonu Fryderyka Wedela, córka jego przepędzała dnie i noce w modlitwie, nie bacząc na łoskot i gwar bitwy, który odbijał się w jéj komnacie nakształt szumu wzburzonego morza; usłyszawszy hasło trąby, dziś po raz pierwszy, jakby wiedziona przeczuciem pobiegła do okna i przypatrywała się pojedynkowi Gniewkowskiego księcia i Bartosza. Widok walki, która miała roztrzygnąć los sieroty, napełnił jéj serce trwogą, ale zarazem przykuł do świata, który po stracie ojca pustym jéj wydał się stepem, a tryumf umiłowanego przez nią męża pokrzepił zbolałą duszę męztwem i nadzieją. Skoro rycerz stanął na progu, zawołała wznosząc oczy ku niebu: „dzięki ci Panie że ocaliłeś go w boju!“

— I ja wdzięczne składam dzięki Bogu, że mi dozwala oglądać cię miła Anno! rzekł Bartosz; a kiedy ona w zachwycie z kornie złożonemi rękami nieporuszona stała, zbliżył się starosta i drżącemi usty dotknął jéj czoła: dużo cierpiałaś i srogo Pan dotknął cię próbą, ale wyroki jego spełnione i książę Gniewkowski sprawiedliwą poniósł już karę.

Ojciec, mój ojciec nie żyje! zawołała znów z głośném łkaniem Anna.

— Tak, zacny, dzielny rycerz padł ofiarą chytrości Sędziwoja i wściekłego gniewu księcia Władysława, z tym ostatnim skończyłem mój porachunek, ale pierwszy musi z czasem zdać mi sprawę, jako podstępnie uwiódł twego ojca i stał się śmierci jego przyczyną.

— Książe Gniewkowski, obiecał że go ocali, ale już było zapóźno..... Boże! jam to nieszczęsna sprawiła że ojciec mój nie żyje...

— Co mówisz Anno?

— Okrutną radę podawał mi Władysław..... niechciałam przystać... więc ojciec mój zginął...

— Jakto?

— Tak! winną może jestem śmierci ojca; winną może przed ludźmi i Bogiem..... ten wieczór straszliwy zawsze przed memi oczami stoi i słyszę łoskot żelaznéj kraty.... mój ojciec, biedny mój ojciec!

— Anno! to gorączkowe marzenie, uspokój się moja miła, bo zkądże, jakim sposobem możesz być winną śmierci rodzica, który ci był droższym nad życie?

— O! mówicie że to jest marzenie, okropne marzenie.... niech i tak będzie, zaklinam was miły rycerzu, nie pytajcie mię dzisiaj już o nic więcéj......

Bartosz gorącemi słowy, zaklinał dziewicę, aby uspokoiła się w srogim żalu i nie dawała przystępu do serca rozpaczy; duszę zmarłego polecimy Bogu, dodał, a ciału jego jutro oddamy przysługę, jako tak zacnemu i mężnemu rycerzowi przystało. Rozmowa Bartosza z Anną może do późnego przeciągnęłaby się wieczora, gdyby nie nadszedł był pachołek i znać mu niedał że Sędziwój i inni starostowie ważną mając rozpocząć naradę, na niego jednego oczekują oddawna. Odebrawszy podobne wezwanie, pożegnał starosta Brzeski narzeczoną i poszedł do wskazanéj mu przez pachołka komnaty.

XXX.

Na trzeci dzień, po opisanych wypadkach, odwiedził Bartosz Gniewkowskiego księcia, z którym miał traktować i sprawę jego listownie przedstawić królowi, a to w skutku zapadłéj uchwały na naradzie starostów, którzy znajdowali się przy zdobyciu Złotorji.

— Uczciwszy pogrzebem zmarłych, za najpierwszą uważam powinność hołd mój złożyć wam książe i zapytać czy nie potrzebujecie czego? rzekł wchodząc do izby, w któréj spoczywał ranny Władysław.

— Dzięki waszym życzliwym staraniom, odpowiedział wyciągając ku niemu rękę książę, czuję że wkrótce dawne odzyskam zdrowie; jedną tylko przełożę wam prośbę, ażebyście dali na piśmie poręczenie królowi, że dopóki on żyć będzie nie podniosę przeciwko niemu miecza, a wyrzeknę się nawet na rzecz jego praw mych do Gniewkowskiego księztwa, jeżeli odpowiednie

w ziemi lub w pieniądzach, da mi wynagrodzenie.

— Dobrze, przedstawię wasze żądanie i spodziewam się, że położę koniec zatargom, które zakłócają spokój tego kraju.

— Czy myślicie że na długo spokój utrwalony będzie? z uśmiechem odparł Władysław, mylicie się sami Bartoszu, jeśli sądzicie, że skoro ja się usunę, znikną wraz ze mną brzemienne piorunem chmury, które gromadzą się nad tą ziemią.

— Nie, nie mylę się książe! bo znam dobrze całą nędzę mego kraju, a jako starosta kujawskich zamków i grodów, dotykam się często rany którą synowie własnéj zadają macierzy... znam również niespokojny i chciwy umysł sąsiadów, którzy jątrzą rany i jak krwiożerce sępy czychają na naszą zgubę.... widzę to jasno, że płomień tli się jeszcze pod popiołem i że lada wiatr roznieść go może i wielką sprawić pożogę..... może nie zadługo nowa nastąpi walka i ja sam w krwawych stanę zapasach, bo nie mało liczę wrogów, którzy gotowi są mnie i sławę moją na wieki zagrzebać w popiele. Znam dobrze wielką zawiść a złość ludzką, znam knowanie na dworze króla i matki jego Elżbiety, ale brzydzę się fałszem i zdradą, więc wyczekuję do czasu i chytre zabiegi wrogów odpieram pogardą, choć raz zadraśnięty i wyzwany do boju, stanę w szrankach.... na Boga!... jak lew wyparty z rodzinnego gniazda nie zlęknę się tysiąca grotów, a jako wiernie sprawie służyłem narodu, tak bronić będę czci mego imienia, by cienie ojca mego i dziada nie powstydziły się za mnie...

— Bartoszu, zacny Bartoszu! zawołał z iskrzącém okiem książe, znałem was dotąd jeno z imienia, a nienawidziłem jako największego wroga, dziś raczéj szlachetném sercem waszém, niż ostrzem miecza pokonaliście mię rycerzu i wyznaję przed wami, jako zawiniłem srodze, bo chciałem wykraść serce miłéj dziewki waszéj, ale bądźcie dobréj myśli, Anna wierną wam pozostała.

— Znałem jéj duszę i nie obawiałem się zdrady, odparł z dumą Bartosz.

— Wybaczcie mi zacny rycerzu i chciejcie odtąd zostać mym druchem, a wierzajcie że umiem dotrzymywać słowa.

— Pierwszy podałem wam rękę miłościwy książę, czciłem zawsze mężne serce



Dobij mię Bartoszu! niech na nędzę a hańbę moją nie patrzę już dłużéj.

i królewską krew Piastów, która w żyłach waszych płynie; ze zwycięzcy dziś jestem sługą waszym; wskażcie mi miejsce do którego udać się zechcecie, a ze czcią przynależną w licznym poczcie rycerzy sam was odprowadzę, szkatułę zaś moją otwieram dla was, możecie z niéj czerpać według woli.

— Nie żądam od was ażebyście mię odprowadzali sami, dajcie mi jeno list do króla i odeślijcie na dwór jego, słowo moje i zaręczenie wasze spodziewam się że przejedna Ludwika i że krewnemu swemu nie odmówi wynagrodzenia, które mu się z prawa przynależy..... Ale mam jeszcze jedną prośbę do was zacny Bartoszu; wiesz zapewne jako Ulrych podle postąpił ze mną i jako zdrada jego ukarana jest śmiercią córy, która wraz z bratem swym przybyła tutaj przed kilkoma dniami przebrana za giermka; z wielkiéj życzliwości podjęła trud takowy, by mię ostrzedz ażebym nie rachował na pomoc ojca, który wcale inszą zajęty jest wyprawą...

— Tak i do moich uszów doszły już wieści, że Ulrych ściągnąwszy z niemiec posiłki napadł na dobra Acybiskupa Janusza, według swego obyczaju, pali i rabuje sioła.

— Domyśliłem się że tak a nie inaczéj się zabawia, skoro wieść powziąłem że jest w Gniezna okolicach, bo wiem dobrze że krwawo opłacają mieszkańcy nasi każdą jego wycieczkę. Żałuję, że znając fałszywe serce Ulrycha, dałem mu się ułowić w sidła, czuje się jednak mimo to w obowiązku donieść mu o dziwném zrządzeniu losu, który przez usta córy odkrył mi bezecność jego; oraz opowiedzieć dalsze, smutne dziewki téj przygody i niech każdy ujrzy w nich snadnie ów palec Bożego gniewu, który wcześniéj czy późniéj dotknie głowę zdrajcy i jest zapłatą za jego podłe czyny; proszę więc was Bartoszu poślijcie Ulrychowi moje pismo, które temi jeszcze zakończę słowy, jako żałuję mocno że nie mogę sam rozprawiać się z nim w pojedynku za osobistą zniewagę i pomścić śmierć dziewki, któréj on sam, niegodny ojciec stał się przyczyną, boć gdyby nie jego knowania, nie pośpieszyłaby mię tutaj przestrzegać i żyłaby dotąd spokojnie.

— Wypełnię żądania wasze, lecz wpierw opuścić was muszę, ważne a bardzo pilne wzywają mię dzieła; dziś wyprawiam rannego księcia Kazimierza do Bydgoszczy, a jutro odwożę miłą moją Annę do krewnych jéj domu, gdzie niezadługo ślubny złączy nas związek, skoro wrócę z krakowskiego grodu, dokąd w sprawie dzierżonych na Kujawach królewskich grodów, rychło udać się muszę. Książe spuścił smutnie na piersi głowę i nie rzekłszy słowa, pożegnał odchodzącego uścisnięciem dłoni.

* * *

Tak zakończyła się powtórna Władysława Białego wyprawa, obfita w malownicze wypadki, które przekazały nam dzieje; odtąd urywa się wątek powieści, bo o dalszym jego losie zaledwie pobieżne w kronikach dawnych spotykamy wzmianki. Wyleczywszy się z rany zadanéj mu przez Bartosza, kosztem jego udał się do węgierskiéj stolicy i bawił na dworze Ludwika, po pewnym zaś czasie osiadł w bogatém benedyktyńskiém opactwie, które otrzymał w darze od króla, nadto jako wynagrodzenie za księztwo Gniewkowskie obiecał mu Ludwik wypłacić dziesięć tysięcy florenów; summy takowéj nie odebrał całkowicie a na lat kilka rozłożona była wypłata, tymczasem opat i rycerz odwiedzał często dwór siostrzenicy swojéj królowéj Elżbiety, bo duch jego niespokojny i chciwy wrażeń nie mógł usiedzieć długo w murach klasztoru. Świetny dwór Ludwika wiele miał zapewne wdzięku w oczach Władysława Białego, ale czy nie mógł znieść upokorzenia, którego doznawał bezwątpienia w obecném położeniu, czy téż trudno było nawykłemu do ciągłych wędrówek i burzliwych przygód ostać się na jedném miejscu, choć bez wskazanéj przyczyny, dowiadujemy się jednak, że porzucił opactwo, wyjechał tajemnie z Węgier i podążył do krzyżackich krajów. Król Ludwik dowiedziawszy się, że krewny jego znajduje się w Gdańsku, wysłał za nim gońców, którzy wypłacili mu resztę kwoty i żądali pokwitowania, ale Władysław Biały wymawiał się długo, okazując wyraźnie, że nie chciał się wyrzec praw do Gniewkowskiego księztwa, aż w końcu potajemnie

wyjechał z Gdańska i długo żadnéj nie było o nim wieści, jest rzeczą jednak pewną że słowa swego nie złamał i dopóki żył król Ludwik nie knuł żadnego spisku a nawet nie pokazywał się w Polsce. Nie prędzéj, jak w rok po śmierci króla, widzimy go znowu, pomiędzy pretendentami ubiegającemi się o koronę, ale dziwny zbieg wypadków w czasie bezkrólewia niedługo uwodził go miłą, dawno wypielęgnowaną nadzieją, otrzymania berła i korony Piastów. Chcąc wyświecić wzajemny stosunek owoczesnych pretendentów, a zarazem dopełnić wizerunku historycznych osób występujących w téj powieści, musimy rzucić okiem na epokę bezkrólewia, któréj prologiem nazwać się mogą rozruchy na Kujawach, w czasie zuchwałego napadu księcia Władysława Białego. Wkrótce, po opisanych powyżéj wypadkach, Domarat z Pierzchna herbu Grzymała, ulubieniec królowéj matki Elżbiety, otrzymał starostwo wielkopolskie na miejscu Sędziwoja z Szubina, który zachowując godność wojewody kaliskiego, został starostą krakowskim; starostwo zaś brzeskie i inne grody w Kujawach, wydzierżawione przez króla Bartoszowi z Więcborga, dostały się Pietraszowi Grzymalicie, pod pozorem, że ten ostatni większą przyrzekł wypłatę. W rzeczy zaś saméj, stronnictwo dworskie usiłowało poniżyć znakomitego rycerza i bogatego pana, którego wzrastająca potęga groźną mu się wydała. Domarat, Pietrasz byli więc twórcami małopolskiego możnowładztwa, na czole którego, w ostatnich latach panowania Ludwika, widzimy trzech mężów; biskupa krakowskiego Zawiszę z Kurozwęk, ojca jego kasztelana Dobiesława i znanego nam Sędziwoja z Szubina. W Wielkopolsce w miarę rozwijającego się ruchu, w coraz jaskrawszém występują świetle, jako zwolenicy dawnego porządku a nieprzyjaciele obczyzny: Bartosz z Więcborga pan na Odolanowie, Sędziwój Świdwa kasztelan nakielski i Janko z Czarnkowa archidjakon gnieźnieński; ten ostatni, prześladowany przez Kurozwęckich, pozbawiony podkanclerskiego urzędu, który sprawował w ostatnich latach panowania króla Kazimierza; jako mąż nauki i niepospolitych zdolności, wielce wpływał na sprawy i uchwały duchowieństwa a opierając się niecnym knowaniom Zawiszy z Kurozwęk i przyjaciela jego Mikołaja z Kurnika, występował często w otwartéj z niemi walce. Janko archidjakon wtajemniczony w intrygi dworu, świadomy spraw duchowieństwa i jego zabiegów, a jako prawy wielkopolanin przywiązany całą duszą do swéj rodzinnéj ziemi, mistrzowskiém kreśli piórem charaktery osób mu znanych i obrazy wypadków których był świadkiem, jako zaś mąż czynu i dziejopis znakomity, stoi w rzędzie najwspanialszych świeczników owéj zamglonéj średniowiekowéj epoki. Na czele Nałęczów, którzy stają w obronie praw wielkopolskiéj szlachty, widzimy trzy dobitnie zarysowane w kronice Janka postacie: Bartosza z Więcborga, Sędziwoja Świdwy i Wyszoty z Kurnika. Pierwszy z przywódzców ruchu Bartosz, pochodził z dawnéj zamożnéj szląskiéj rodziny, a był synem Peregryna, który się pisał z Chotelu; jeszcze za życia Kazimierza króla otrzymał on miasto i zamek Koźmin, a za panowania Ludwika jako storosta licznych w Kujawskiéj ziemi grodów, odznaczył się nieraz w rycerskiéj sprawie, wytępiał rozboje po drogach i jak opisaliśmy wyżéj, przyczynił się głównie do poskromienia buntu Władysława Białego. Wkrótce po zdobyciu Złotorji, umiera w skutku otrzymanéj rany Kazimierz Kaszka książe Szczeciński, a Dobrzyńską ziemię oddaje, Ludwik Władysłowi księciu Opolskiemu, niedługo téż potem na mocy postanowienia króla, Pietrasz Małocha obejmuje starostwa na Kujawach, które od lat kilku dzierżył już Bartosz, pan licznych miast i włości, słynny z rycerskich czynów u swoich i u postronnych. Rozgniewał się srodze Bartosz z Więcborga za wyrządzoną mu krzywdę i niewdzięczność dworu, a uważając księcia Opolskiego za głównego sprawcę intrygi, postanowił pomścić się na nim i odtąd częstemi najazdami pustoszył jego włości i niepokoił grody i zamki. Oprócz rzeczonego powodu, znalazł się jeszcze inny, który na zawsze wykopał przepaść pomiędzy panem z Więcborga a tronem Ludwika. Kilkudziesięciu rycerzy francuzkich, podróżujących do krzyżackiego kraju, dostało się do niewoli Bartosza, który obiecał wypuścić ich na

wolność skoro wypłacą mu 27,000 złotych. Mistrz krzyżacki Winryk de Kniprode zapłacił Bartoszowi od nich żądaną kwotę, ale udarowani wolnością rycerze zanieśli skargę do króla Ludwika, który rozkazał staroście Odolanowskiemu zwrócić pieniądze w ilości 18,000 złotych, zagroziwszy, że siłą oręża zmuszony będzie w razie oporu do wykonania tego wyroku; od téj pory możny pan z Więcborga wypowiada otwarcie posłuszeństwo węgierskiemu dworowi, szuka sprzymierzeńców, a z przyjściem Zygmunta do Polski w otwartéj występuje wojnie przeciw intrygom węgierskim i najazdom niemieckiego księcia. Drugim a najgroźniejszym z Nałęczów rodu był Sędziwój Świdwa kasztelan nakielski, daléj Wincenty z Krempy wojewoda poznański i Wyszota z Kurnika, znany już poprzednio, jako gorliwy stronnik Władysława Białego, który go przyprowadził z Niemiec i łudził nadzieją zdobycia korony Piastów. Jak wspomnieliśmy wyżéj, przywódzcami małopolskiéj szlachty, przychylnéj zamiarom Ludwika, za życia tego króla, byli trzéj mężowie, wysokie godności piastujący w kraju; pierwszy z nich Zawisza z Kurozwęk, kanclerz królowéj Elżbiety, a po śmierci Floryana biskup krakowski, rozumny i przebiegły, wtajemniczywszy się prędko w intrygi i zamiary dworu, jako kanclerz państwa, przez kilka lat ostatnich panowania Ludwika, trzymał ster rządu w rękach, a wszystkie postanowienia najwyższéj władzy zależne były od jego woli. Mianowany biskupem i konsekrowany przez arcybiskupa gnieźnieńskiego w Kaliszu, z wielkim przepychem wjechał Zawisza do stolicy; prowadził odtąd dwór książęcy, stroił się w bogate szaty, utrzymywał siedmdziesiąt koni na stajni, a życie pędził wesołe, w towarzystwie niewiast i rozkosznéj drużyny, która przy pląsach i dźwięku muzyki spełniała z nim ochoczo puchary. Nim jeszcze kanclerz został biskupem strofowała go nie raz królowa matka Elżbieta, za nieprzystojne zabawy i przepych nieodpowiedni duchownemu powołaniu, ale Zawisza nie baczył wcale na napomnienia, wiedząc dobrze że jest panem tajemnic królewskiego dworu i główną sprężyną jego zamiarów. Koniec biskupa odpowiadał jego życiu, umarł on bowiem w skutku pewnéj niefortunnéj przygody, a według świadectwa kronikarza Janka, po wspaniałym pogrzebie Zawiszy, stróże kościelni słyszeli w korytarzach rżenie biegających rumaków, jako téż głosy: pojedziemy na ops! *) Kasztelan krakowski Dobiesław dopomagał wielce synowi do utwierdzenia wpływów rodzinnych w kraju; połączeni związkami pokrewieństwa z najmożniejszemi rodzinami starali się Kurozwęccy o pozyskanie silnego stronnictwa w Wielkopolsce; oddanie wielkorządztwa tego kraju w ręce Domarata, osadzenie na najwyższych urzędach i bogatych starostwach nienawistnych Nałęczom Grzymalitów, ich było dziełem. Znany już nam Sędziwój z Szubina, potomek starożytnego rodu Toporów, obsypany łaskami króla, był drugim najwierniejszym wykonawcą jego zamiarów, a jakkolwiek ukrywał często swoje zamysły i niewystępował jawnie w boju, nie podlega wątpliwości że nie sprzyjał nigdy szczerze Piastom, a pracował gorliwie nad obaleniem wielkopolskiego stronnictwa, co aż nadto wyraźnie następne okażą wypadki.

Kiedy niektórzy panowie z Nałęczów rodu podali już hasło walki, drudzy znów gotują się w ciszy do obalenia znienawidzonych rządów Domarata; na kilka miesięcy przed skonem Ludwika króla, umiera Janusz Suchywilk Grzymała arcybiskup gnieźnieński, a ztąd dla stron obydwóch otworzyło się obszerne pole do czynnych zabiegów, względem wyboru nowego zwierzchnika kościoła. Nałęcze zalecali usilnie duchowieństwu współherbownika swego Dobrogosta z Nowegodworu, męża zasłużonego w kraju, który woził listy od Papieża do książąt litewskich Olgierda i Kiejstuta; młody książe Mazowiecki rozumiał dobrze, że sprawa jego w znacznéj części zależną jest także od tego wyboru, więc zaraz po śmierci Janusza opanował Łowicz, jako stare dziedzictwo książąt na Mazowszu. Wypadek ten wpłynął przeważnie na postanowienie kapituły, która nie chcąc rozpoczynać niebezpiecznych zatargów z Ziemowitem i ze znakomitą większością Wielkopolan, obrała jednomyślnie ar-

*) Staroświecki ten wyraz znaczy wesołą ucztę.

cybiskupem Dobrogosta. Grzymalici i całe dworskie stronnictwo przerażone widokiem wzrastającéj potęgi Nałęczów, nie waha się w wyborze środków, byleby tylko zdołało zniweczyć zamiary wrogów, osadzeniem na arcybiskupiéj stolicy innego a przychylnego mu męża. Obiór kapituły był ważnym, ale potwierdzenie przez Papieża było konieczne, wybrał się więc Dobrogost w podróż, lecz w północnych Włoszech w mieście Trewizo na rozkaz księcia Rakuskiego Leopolda, ojca Wilhelma, a na żądanie króla Ludwika, pojmany i przez kilka miesięcy trzymany był w niewoli, w którym to czasie wyznaczył król posłów z gorącą prośbą do Papieża, ażeby wyniósł do godności arcybiskupiéj Bodzantę herbu Szeliga, wielkorządcę dóbr królewskich w krakowskiéj i sandomierskiéj ziemi. Papież Urban VI przychylił się do żądania Ludwika i zanim Dobrogost wyszedł z więzienia, wydał bullę mianującą Bodzantę arcybiskupem gnieźnieńskim. Wypadek ten niesłychanie oburzył Nałęczów, a następujące szybko zdarzenia rozdmuchały wkrótce pożar domowéj wojny.

Król Ludwik, jakby przeczuwając chwilę blizkiego skonu, postanawia związek ślubny starszéj córki Marji z czternastoletnim margrabią Zygmuntem Brandeburskim, następnie przyzywa panów polskich, którzy składają przysięgę na wierność Marji i jéj mężowi, a wkrótce potém Zygmunt w towarzystwie Bodzanty, Sędziwoja z Szubina i Domarata wielkopolskiego starosty wjeżdża w granice Polski. Zaledwie krok pierwszy postawił na naszéj ziemi, margrabia znaczy ślad swój krwią i pożogą, bądź z własnego natchnienia, bądź téż idąc za głosem nieprzychylnych wielkopolanom doradców. Zaczyna dzieło zniszczenia od zdobywania zamków Bartosza z Więcborga, Koźmina i Odolanowa, następnie posuwa się ku Mazowszu, niszcząc dobra duchowne i świeckie, a nim Ziemowit zdążył stawić mu opór, już Zygmunt opustoszył jego dzierżawy, niby mszcząc się na księciu Mazowsza za to, że nie chciał jako hołdownik polski przysięgnąć na wierność królowi węgierskiemu. W czasie téj pierwszéj wyprawy, a raczéj krwawego najazdu pretendenta do tronu, umiera Ludwik, więc margrabia opuszcza Mazowsze, przebiega Wielkopolskę i wchodzi do Poznania; mieszkańcy tego grodu roztwierają przed nim bramy i przyjmują go bez szemrania, ale skoro zażądał od Wielkopolan ażeby mu złożyli przysięgę na wierność jako królowi, posłowie w imieniu ogółu szlachty żądają od niego, ażeby złożył natychmiast z urzędu, znienawidzonego przez nich, z powodu licznych nadużyć, starostę Domarata; pod tym tylko warunkiem, przyrzekają poprzysiądz mu posłuszeństwo. Zygmunt, nieuczyniwszy zadość żądaniu Wielkopolan i odprawiwszy posłów ich z lekceważeniem, jedzie do Gniezna, gdzie oczekiwał już na niego arcybiskup Bodzanta i powitał jako przyszłego króla; ale niedługo gościł w staréj Piastów stolicy, po odprawieniu żałobnego nabożeństwa wybrał się w podróż do Krakowa, zapewne w zamiarze doświadczenia wierności małopolan i zajęcia stołecznego grodu. Po drugi raz jeszcze próbowali wielkopolanie czy nie uda im się pozbyć Domarata za pośrednictwem Zygmunta, zanieśli więc znów prośbę do przejeżdżającego margrabiego w Brześciu o złożenie z urzędu wielkopolskiego starostę, ale słuszne ich żądanie nazwał zuchwałością i odpowiedział im groźbą. Szlachta wielkopolska, nawykła do częstych zjazdów porozumiewa się z małopolanami i przekłada im potrzebę wspólnego naradzenia się nad sprawą dotyczącą całego kraju, rozjeżdżają się więc w różne strony gońce z listami, a na miejsce przyszłych obrad naznaczone jest miasto Radomsk. W dniu oznaczonym licznie zgromadzili się wielkopolanie, w ich kole byli znani przywódcy ruchu, Bartosz z Więcborga, Wyszota z Kurnika, Sędziwój Świdwa; z przeciwnéj strony znajdowali się arcybiskup Bodzanta i Domarat jenerał starosta wielkopolski, z małopolskich panów nie wielu przybyło do Radomska, ale jeden z trzech głównych doradców Zygmunta, znany nam starosta krakowski i wojewoda kaliski Sędziwój z Szubina był obecny na naradach. Choć nieokreślone jeszcze przepisami prawa, zjazdy braci szlachty, które przybrały odtąd nazwę konfederacji, były z dawien dawna w obyczaju naszego narodu; najczęściéj w epoce bezkrólewia,

w czasach ogólnego ruchu, w naglących okolicznościach zagrażających spokojności kraju, tworzyły się owe związki, w celu wzajemnéj narady i zobowiązania, względem utrwalenia porządku i bezpieczeństwa powszechnego. W skutku długich i gorących rozpraw stron obydwóch przyszło w końcu do zgody, bo znakomitą większością głosów potwierdzona, zapadła w Radomsku uchwała, że naród wybraną przez matkę królewnę uzna za panią, pod warunkiem że przyszła królowa wraz z mężem przyjedzie wkrótce do Polski i stale mieszkać w niéj będzie. Pozornie więc nastąpiła zgoda, bo Marja przeznaczona była na tron polski, wrogie dotąd stronnictwa niby pochwalały ten wybór, ale w istocie rzeczy, pod tym płaszczem jedności inne ukrywały się zamiary, zważywszy że Marja powołana na tron węgierski nie mogła ani stale zamieszkiwać w kraju, anitéż ojcowskiego dziedzictwa wyrzekać się dla korony polskiéj; nie było więc szczerości w pozornéj zgodzie stron obydwóch, a następujące wypadki wykażą nam to dowodnie. Arcybiskupi Bodzanta i Domarat zaprotestowali natychmiast przeciw postanowieniom konfederacji radomskiéj, oznajmując że związali się przysięgą względem Zygmunta i takową dochować pragną mu wiernie, ale ogół wielkopolan nieuważa na ich słowa wcale; obecni w Radomsku podpisują uchwałę i zapraszają małopolskich panów na walny zjazd do Wiślicy, w celu jéj potwierdzenia.

Skoro w rzeczoném mieście, zebrała się licznie z różnych okolic kraju szlachta, okazało się wkrótce że jak wielkopolanie tak również małopolscy panowie, po większéj części niesprzyjają Zygmuntowi, który widocznie przychylniejszym się okazał dla niemców i czechów, aniżeli polaków; nie namyślając się więc długo podpisują chętnie radomską ustawę; posłowie królowéj, którzy przybyli z Węgier, dziękują w jéj imieniu za wierność dawnéj przysiędze i proszą reprezentantów narodu ażeby nie przedsiębrali nic stanowczego, dopóki ona nie postanowi o zamęźciu drugiéj, młodszéj córki. Arcybiskup Bodzanta chociaż nie podpisuje uchwały Wiślickiego zjazdu, uważając jednak jak nieprzyjazne okoliczności otaczają Zygmunta, zaczyna odtąd chwiać się w daném mu poprzednio zobowiązaniu, ale nim zrobi krok stanowczy oczekuje w milczeniu na dalszy bieg wypadków; nawet najgorliwszy poplecznik Zygmunta Domarat, przyrzeka szlachcie jako gotów jest usprawiedliwić się z czynionych mu zarzutów, ale wielkopolanie jednomyślnie powtarzają pierwsze żądanie, ażeby natychmiast oddał urząd jenerała-starosty. Młody margrabia pomimo głośno oświadczającéj się przeciwko niemu niechęci, nie traci nadziei pozyskania berła i zbliża się do Krakowa, ale kasztelan Dobiesław z Kurozwęk nie radzi mu by wchodził do stolicy, więc zawraca z drogi zmierzając ku granicom Węgier *).

Wkrótce po wiślickim zjeździe Bartosz z Więcborga, porozumiawszy się tajemnie z wielkopolanami, względem wprowadzenia na tron Ziemowita Piasta, za pośrednictwem związku ślubnego z królewną węgierską, gotuje się do wyprawy, a raczéj domowéj wojny, za któréj powód, mógł łatwo posłużyć upór znienawidzonego Domarata, który pomimo powszechnego żądania nie chciał ustąpić z urzędu, gardził wolą narodu i miotał na niego groźby. Kiedy starosta odolanowski Bartosz szykuje hufiec a wraz ze zbrojnym ludem przybyłym mu w pomoc z Mazowsza, zdobywa pomniejsze miasta i posuwa się ku murom Kalisza, wieść gruchnęła i po całym wielkopolskim rozeszła się kraju, że starosta Domarat rozgniewany za doznaną obelgę, odgraża się głośno, jako sprowadzi Niemców i Pomorzan, z ich pomocą, ogniem i mieczem spustoszy grody i sioła, a pamiętną na długo wrogom swym wielkopolanom zada klęskę. Na odgłos téj wieści Wincenty z Kempy wojowoda poznański, Sędziwój Świdwa kasztelan nakielski i Bartosz z Więcborga starosta odolanowski łączą swe hufce w jednym celu upokorzenia wspólnego wroga, zdobywają miasto Pyzdry, potem Poznań, a Świdwa pustoszy po drodze dobra kościelne. Bartosz spotkał się z Domaratem i zbił go na głowę, ale

*) Znany nam Ulrych von Ost od czasu pierwszego wjazdu do Polski Zygmunta służy mu i dopomaga wiernie, za co margrabia potwierdza mu w Brześciu posiadanie polskiego Drezdenka, jako Brandeburgskiemu hołdownikowi.

ten ostatni, otrzymawszy niespodzianie posiłki skorzystał z nieostrożności kasztelana Sędziwoja Świdwy, napadł na nieprzygotowane do boju jego hufce i zmusił do ucieczki; wtedy sprawdziły się pogróżki wielkopolskiego starosty, bo palił sioła, miasta, łupił dwory i mordował spokojnych mieszkańców. W czasie bitwy, w szeregach tych i owych, stronników Zygmunta i Ziemowita grzmiało jedno hasło „Marja!“ Ze stron obydwóch popełniane były okrutne bezprawia, cała Wielkopolska stała się sceną mordów i pożogi.

Królowa dowiedziawszy się jak groźne wojna domowa przybiera rozmiary, śle poselstwo do małopolskich panów, z oznajmieniem że przeznacza na tron polski młodszą córkę Jadwigę, zaręczoną Wilhelmowi austrjackiemu i przyrzeka że przyśle ją na przyszłe Zielone Święta, byleby polacy zaprzysięgli jéj wierność i zgodzili się na to, by królewna przez trzy lata z powodu młodocianego wieku, pozostawała pod opieką matki; panowie polscy odłożyli odpowiedź do zjazdu w Sieradzu. W celu pojednania poważnionych wielkopolanów wysłani do nich Spytek z Melsztyna wojewoda krakowski, Mikołaj Bogorja kasztelan zawichostski i Sędziwój z Szubina; owocem ich starań był rozejm zawarty po dzień Ś. Jana. Skoro ucichła na chwilę wrzawa domowéj wojny, zjeżdżają się licznie panowie polscy w Sieradzu, dokąd przybywa także Władysław książe Opolski i Dobrzyński i posłowie królowéj matki. W końcu burzliwéj narady większość okrzyknęła się za wyborem na tron Ziemowita, z dodaniem warunku, że zostanie mężem królewny Jadwigi. Najwięcéj przyczynił się do przeważenia zdania na korzyść Mazowieckiego księcia arcybiskup Domarat dawny doradca Zygmunta, który stosownie do okoliczności zmieniał często w czasie bezkrólewia swą rolę. Sędziwój z Szubina wierny dotąd wykonawca zamiarów dworu, niewystąpił przeciw znacznéj większości która okrzyknęła Ziemowitem królem, jak gdyby umyślnie komu innemu przeznaczał to zadanie; otóż Jaśko z Tęczyna kasztelan wojnicki, syn niegdyś Andrzeja wojewody krakowskiego, przemówił pierwszy do zgromadzonych jako zbyt skwapliwie łamią zobowiązania dane niedawno królowéj. Za zdaniem jego poszli wkrótce inni, zawezwali posłów i oświadczyli im uroczyście, że gotowi są złożyć przysięgę na wierność królewnie, byleby nie późniéj jak na dzień Zielonych Świątek przyjechała do Polski; z tą odpowiedzią odjechali posłowie a z niemi Sędziwój z Szubina. Skoro się zbliżał dzień wyznaczony na przyjazd Jadwigi, a małopolscy panowie wyjechali na jéj spotkanie, powitał ich wracających z Węgier Sędziwój i oznajmił że z powodu ogromnego wód wylewu, radaby królowa przedłużyć termin podróży córki, którą jednak, pomimo niebezpieczeństwa wyprawić jest gotowa, jeżeli tego koniecznie panowie żądać będą. Odebrawszy ten słowny dowód życzliwych chęci królowéj, poszli za radą Sędziwoja i udali się z nim posłowie polscy do Koszyc, gdzie zupełnie przeciwną Sieradzkiéj podpisali uchwałę, potwierdzając bowiem wybór Jadwigi, któréj czas przyjazdu przedłużyli po dzień Ś. Marcina, zgodzili się na warunek, że gdyby młodsza królowa umarła bezpotomnie, wtedy koronę polską odziedziczy starsza siostra i nawzajem, zawarowali toż samo względem połączenia węgierskiego tronu z polskim w razie niepłodności Marji.

Ugoda Koszycka z oburzeniem przez ogół narodu odrzucona była, mianowicie, co do wzmiankowanego porządku następstwa tronu; tymczasem książe Ziemowit, dowiedziawszy się o odroczonym przyjeździe Jadwigi, na czele licznego rycerstwa, w towarzystwie Bodzanty i Bartosza z Więcborga zbliża się do Krakowa, w zamiarze, jak prawili, wykradzenia królewnéj; ale kiedy przybył pod mury stolicy, znalazł bramy zamknięte, więc pozostał po za obrębem miasta, a obawiając się zasadzki, wyniósł się w nocy do Nowego miasta Korczyna, zkąd wkrótce, doznawszy nieprzychylności małopolskich możnowładców, wyruszył ku granicom Mazowsza. Rozgniewany najwięcéj na wojewodę krakowskiego Spytka z Melsztyna, ośmnastoletniego młodzieńca, spalił Książ, majątek jego. Zdobywszy wiele zamków i grodów na Kujawach, udał się Ziemowit do Sieradza, gdzie w kościele Dominikańskim arcybiskup Bodzanta ogłosił go królem, po-

czém posunął się pod mury Kalisza, a po kilku dniach oblężenia, zostawiwszy hufce pod wodzą Bartosza, wyruszył sam do Łęczycy. Ogłoszenie księcia mazowieckiego królem, opanowanie Kujaw, oblężenie Kalisza przez Bartosza z Więcborga i Konrada księcia Oleśnickiego, który przybył Ziemowitowi na pomoc, te tak niespodziewane wypadki, wywołały nowy zamęt i groźniejszą od poprzedniéj domową wojnę.

Grzymalici podżegani przez Domarata postanowili pomścić się na arcybiskupie za zdradę Zygmunta, zdobyli więc gród jego Kamień, paląc okoliczne sioła i rabując dobytek. Przerażony Bodzanta wchodzi w układy z Grzymalitami, a hojnym datkiem skłania ich do odstąpienia zajętych mu grodów, ale skoro jednego pozbył się wroga, rozgniewani na niego wodzowie przeciwnego Ziemowita obozu, Abraham wojewoda płocki i inni, zajmują Kruszwicę i pustoszą liczne włości arcybiskupstwa. Bodzanta mieszkał podówczas w Żninie, kiedy przybył do niego Domarat z poplecznikami swemi Wojciechem wojewodą kujawskim, Grzymałą z Oleśnicy i Wierzbiętą ze Smogulca; w groźnéj mowie zapowiadał mu jako jest winny zdrady, za ogłoszenie Ziemowita królem, więc ściągnie na siebie sprawiedliwy gniew królowéj Elżbiety, która już stara się u Papieża, by go złożył za to z arcybiskupiego urzędu. „Jeden pozostaje wam środek,“ dodał, „zmiękczenia królewskiego gniewu, oddając natychmiast jako zakład waszéj wierności miasto Żnin w moje ręce, inaczéj bowiem ujrzycie niewątpliwie w gruzach waszą siedzibę i okoliczne sioła w ogniu.“

Bodzanta usprawiedliwiał się długo z czynionych mu zarzutów, ale kiedy Domarat nalegał na niego coraz usilniéj, taką mu dał odpowiedź: „widzę, w jak okrutném znajduję się położeniu, ustępując bowiem Żnina, narażam się na pomstę twych wrogów, jeżeli zaś ci odmówię, groziszże zburzysz me zamki i kwitnące opustoszysz włości, wolę jednak postradać majątek, niż splamić podejrzeniem moją niewinność, gdybym nie oddał ci Żnina.“ W dniu następnym, po rzeczonéj rozmowie, oddał arcybiskup klucze miasta Żnina w ręce Grzymały z Oleśnicy i Wierzbięty ze Smogulca. Pożar domowéj wojny objął znów całą wielkopolską ziemię; Grzymalici z jednéj, a Bartosz starosta Odolanowski waleczny wódz Nałęczów z drugiéj strony prześcigają się wzajemnie w czynach zemsty, pustosząc wsie i grody. Po raz drugi Bartosz z Więcborga pokusił się o zdobycie Kalisza, kiedy panowie małopolscy, pragnąc ugasić rosnący z dniem każdym płomień pożaru, ślą gońców z listami do Ziemowita i Bodzanty, ażeby przybywali spiesznie do Krakowa dla naradzenia się i położenia tamy bezprawiom. Arcybiskup gnieźnieński wystąpił na zjeździe krakowskim w roli pojednawcy, a za zgodą stron obydwóch uchwalony był rozejm do dnia Ś. Michała, pod warunkiem że wojsko Ziemowita odstąpi natychmiast od oblężenia Kalisza. Kiedy wzmiankowane toczą się układy Bartosz z Więcborga odnosi świetne zwycięztwa w Kujawach, więc odebrawszy rozkaz księcia opuszczenia Kalisza i zaniechania nieprzyjacielskich kroków, nie myśli o złożeniu broni, a dopiero po dniach dziesięciu, kiedy nadciągnął książe Mazowsza pod mury oblężonego miasta, zmuszony był ustąpić dzielny Nałęcz z uczuciem obrażonéj dumy, ale zaprzysiągł zarazem że nie wyciągnie już miecza w obronie słabego Piasta. Tymczasem Zygmunt margrabia Brandeburgski na czele 12,000 węgrów, wchodzi w granice Polski, a pod pozorem niewypełnienia przez Ziemowita warunków rozejmu, ogniem i mieczem pustoszy jego dzierżawy, potém idzie w kujawską ziemię, wszędzie krwawych stóp za sobą zostawiając ślady, a stanąwszy pod murami Brześcia, po kilkodniowém oblężeniu, za wstawiennictwem Władysława Dobrzyńskiego księcia, zawiera rozejm z Ziemowitem i wraca do Węgier, ciągnąc bogatemi łupami naładowane wozy.

Odtąd z widowni politycznéj ustępują stronnictwa Zygmunta i Ziemowita, a chociaż walka Grzymalitów z Nałęczami przeciąga się jeszcze długo, przybiera już cechę prywatnych zatargów między powaśnionemi domami. Jedni utracili dawno nadzieję ukoronowania Marji i jéj znienawidzonego przez naród Zygmunta, drudzy tracą teraz wiarę w przyszłość popieranego przez nich Piasta; pierwszy odstręczył serce widokiem

gwałtów i rozbojów, któremi myślał utorować drogę do polskiego tronu, drugi, oprócz Nałęczów, drobnéj szlachty i słabego współdziałania kmiecego ludu, nieznajduje innych sprzymierzeńców, możni albowiem panowie i w ogóle ludność miejska, nie sprzyjała wyborowi Ziemowita. Rzec można, że od chwili, w któréj skierowały się oczy narodu ku młodszéj córze Elżbiety, Jadwidze, upadają w znaczeniu polityczném Grzymalici i Nałęcze, a nowi ludzie, którzy trzymają w Małopolsce wodze rządu, krzątają się coraz gorliwiéj około przyszłéj budowy kraju i stają się przedstawicielami idei, która naród na nowe miała popchnąć drogi. Kiedy Domarat i Grzymalici knują spiski z Niemcami, a najgorliwsi z Nałęczów Sędziwój Świdwa i znany nam Wyszota z Kurnika, w ostatnim rozpaczliwym boju tępią żelaza na karkach swych wrogów, wódz dawny Nałęczów, pogrom Grzymalitów, Bartosz z Więcborga ostygnąwszy dla Ziemowita, przez cały czas bezkrólewia walczy jako osobisty wróg Domarata i jego wspólników*). W gronie małopolskich panów, widzimy jeszcze starego przyjaciela dworu, doradcę ongi Zygmunta, Sędziwoja z Szubina, jak z młodzieńczą żywością nagli królowę ażeby zezwoliła na wyjazd z Węgier Jadwigi. Skoro się zbliżył dzień Ś. Marcina staje znów Sędziwój przed Elżbietą, przypomina obietnicę dając jéj w zakład młodzieńców znakomitego rodu, ale królowa pragnie jak najdłużéj przeciągnąć wyjazd córki, podejrzywa Sędziwoja i używa podstępu, rozkazuje bowiem Jaśkowi z Tarnowa ażeby jechał do Krakowa objął władzę nad zamkiem i wypuścił węgierską załogę. Dowiedziawszy się o knowanéj zdradzie, uprzedza Sędziwój zamysł Elżbiety, śle pośpiesznie z listem gońca do mężów czuwających w jego nieobecności nad obroną zamku, rozkazując im, ażeby nie ważyli się w niczyje ręce oddawać władzy, chociażby doszła wieść ich uszów, że on, starosta spalony został przez królowę na stosie; wkrótce potém ucieka rozstawionemi końmi z Dalmacji, a w przeciągu jednéj doby przebiega mil węgierskich sześćdziesiąt, które są dłuższe od mil niemieckich. Kiedy najgorliwszy z doradców dworu ściągnął gniew Elżbiety, nowi jéj ulubieńcy Spytko z Melsztyna i Jaśko z Tarnowa przyczynili się najwięcéj do przełamania uporu królowéj, a dzięki ich zabiegom przybyła w końcu do Polski z upragnieniem wyglądana Jadwiga, niby wschodząca jutrzenka nowéj, choć dawno przeczuwanéj doby; przed siłą niezłomnéj przeznaczenia woli najtwardsze pękły przeszkody, a z ciemnego chaosu świetne wyłoniło się życie.

Jak wspomnieliśmy już wyżéj, w czasie burzliwych walk bezkrólewia, zjawił się jeszcze raz jako pretendent do korony, książe Władysław Biały, przywiózł on z sobą bullę antypapieża Klemensa, który go uwalniał od ślubów zakonnych, ale słabe znalazł poparcie, a widok niepowodzenia innych, potężniejszych pretendentów ostudził w nim wszelką nadzieję; odtąd prawdopodobnie najwięcéj przebywał w zaciszy klasztorów, bo dzieje dalsze jego pielgrzymki zupełnie nie są nam znane; wiemy tylko że umarł w Strasburgu 1398 r.; zrobił przed śmiercią zapis 2,500 złotych na rzecz Dižońskiego klasztoru, w którym spoczywa jego ciało, tam dotąd coroczne odprawia się za jego duszę nabożeństwo, pod nazwą rocznicy króla Lanselota.

Władysław Chomętowski.

*) Bartosz z Więcborga rozbrojony w czasie przyjazdu Władysława Jagiełły do Wielkopolski, był następnie wojewodą poznańskim; dom jego po kądzieli złączył się z rodziną Zborowskich.

KAPITAN OKRĘTU SĘP.

POWIEŚĆ Z ANGIELSKIEGO MISS. M. E. BRADDON.

(Dalszy ciąg.)

Z wielkiemi ceremonjami wprowadzono Darrella do apartamentów barona; była to wielka, stara balowa sala, o adamaszkowych firankach i bronzowych świecznikach, suty

ogień płonął na kominie, przed którym siedział wyciągnięty niedbale, młody człowiek zniewieściałéj postaci. Miał na sobie szlafrok jedwabny haftowany, długie jedwabne pończochy i trzewiki z djamentowemi sprzączkami. Peruka blond ufryzowana misternie stanowiła dziwną sprzeczność, z czarnym śladem ogolonéj brody i czarnemi ognistemi oczyma. Puste butelki i wypróżniona również waza ponczu, świadczyły o pijatyce, a jednakże sir Lovel był zupełnie trzeźwym.

— Siadaj panie Markham, rzekł cienkim kobiecym głosem, wyciągając małą rękę połyskującą od djamentowych i szmaragdowych pierścieni. Panie Wiljamie Byers, dodał zwracając się do oberżysty, przynieś mi jeszcze butelkę wina, ale pamiętaj żeby było lepsze jak ostatnią razą. Moi przyjaciele poszli spać dobrze podchmieleni, ja jednakże jestem zupełnie przytomny, jak to widzisz panie Markham.

Sir Lovel Mortimer przeciągał mówiąc, podobnie jak eleganci z Ranelagh i z Parks. Darrell opowiedział mu pokrótce w jaki sposób poznał konia swego w stajni.

— A straciłeś go pan?.... zapytał przeciągle Lovel.

— Straciłem go rok temu.

— To rzecz dziwna! dałem za niego pięćdziesiąt gwinei w Czerwcu, na jarmarku w Barnstaple.

— Czy pamiętasz pan od kogo go kupiłeś?

— Doskonale! — sprzedał mi go dzierżawca z Devonshiru, niemłody człowiek o jasnych włosach.

— Widzę zatém że nienapotkam śladu złoczyńcy który go skradł, myślałem że pan nabyłeś Balmerina wprost od niego, skradziony mi został na drodze z Compton wraz z papierami i pieniędzmi.

Oczy barona zabłysły dziwnym ognistym blaskiem na te słowa, blask ten był w zupełnéj niezgodzie z jego głosem niewieścim i powolnemi ruchami, zdawało się wtedy że odgrywał tylko narzuconą sobie koniecznie rolę.

— Może mi pan opowiedzieć raczysz spotkanie swe z rycerzami wielkiego gościńca?

Darrell opowiedział wszystko, opuszczając to tylko co dotyczyło Emilji i kapitana Duke.

— Nie mam pretensji, dodał w końcu, aby opowiadanie moje znalazło wiarę, prosiłbym jednak abyś pan poszedł wraz ze mną do stajni i tam przekonać się raczył, że wierne zwierzę poznało we mnie dawnego pana.

— Niepotrzebuję się przekonywać o tém, bo nieposądziłem nigdy o kłamstwo człowieka szlachetnego rodu.

Oberżysta przyniósł wino, sir Lovel wypił natychmiast zdrowie gościa, żądając aby tenże odpowiedział mu wzajemnym toastem. Zdawało się że jest zachwycony nowym towarzyszem, opowiadał mu o stolicy, chwalił się ze zdobytych serc niewieścich, mówił wreście o polityce, tak że Darrell znudzony w końcu tą gadaniną, zachmurzył się trochę.

— Zdaje się panie Markham że nie należysz do żadnego stronnictwa, rzekł sir Lovel, widząc że nie łatwo odkryć sposób myślenia młodzieńca.

— Tak jest w istocie, byłem wychowany na wsi zdala od świata, nie znaliśmy tam nic więcéj z polityki, nad to, że trzeba było poruszać dzwony kościelne w rocznicę urodzin jego królewskiéj mości i modlić się za nią codziennie.

Sir Lovel ruszył ramionami.

— Może pan raczysz zjeść ze mną kolację, wyrzekł, przyjaciele moi śpią i radbym niezmiernie mieć towarzystwo przy stole.

—Nie mogę, wymawiał się Darrell, muszę iść spać wcześnie aby równo ze dniem puścić się w dalszą podróż. Ale baron nie przyjmował tłomaczenia, zadzwonił i oberżysta Wiljam Byers który sam usługiwał tak zacnemu gościowi, przyniósł wkrótce poncz i pieczyste.

— Podczas kolacji, może ułożemy się po przyjacielsku co do twego konia panie Markham, rzekł sir Lovel.

Darrell wielce był rad temu i wkrótce stanęło na tém, że w dodatku do konia którego obecnie posiadał, dopłacił pewną kwotę i wziął Balmerina. Nazajutrz wyruszył na nim w dalszą drogę. Zjadłszy obiad w Marlborough, znalazł się o zmierzchu na

samotnéj drożynie do Bath. Miał przy sobie nabite pistolety i nie lękał się napaści, jednakże mimo to, po raz drugi w życiu musiał żałować swéj nieprzezorności, gdy bowiem skręcał na bok, usłyszał po za sobą tentent kilku koni i zaledwie zdołał broń wydobyć, otoczono go i powalono na ziemię silném uderzeniem w głowę, jak to miało miejsce wśród przejażdżki z Compton do Marley. Przyszedłszy do siebie leżał w rowie odarty z broni i pieniędzy, w miejscu zaś Balmerina, jego dawny koń siwy stał uwiązany u płotu. Zaledwie zdołał wdrapać się na siodło i dojechać do najbliższéj oberży. Ubolewając nad bladą i skrwawioną postacią młodzieńca, powitano go tam ze współczuciem i wysłuchano opowiadania jego z najżywszém zajęciem.

— Czy ten Mortimer był pięknym młodzieńcem o czarnych oczach, małych rękach i zniewieściałéj postawie? zapytał gospodarz.

— Tak jest.

— A więc odgadłem, dodał spoglądając tryumfująco po otaczających, jest to kapitan Fanny!

— Kapitan Fanny?

— On sam — jeden z najniebezpieczniejszych i najtrudniejszych do pochwytania łotrów, dano mu to nazwisko z przyczyny małych rąk i zniewieściałéj postawy, która go czyni podobnym do kobiety.

Chłopak stajenny wszedł w téj chwili oddając Darrell'owi zmięty papier.

— Przywiązano go do uzdy konia, wyrzekł.

Darrell rozwinął kartkę i przeczytał głośno następujące wyrazy: „Sir Lovel Mortimer pozdrawia pana Markham, przypominając mu jednocześnie stare przysłowie: że *zamiana nie jest kradzieżą.*"

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Jak przybycie obcego wędrownego kramarza, sprawiło wielką zmianę w obejściu i uczuciach Sary Pecker.

Darrell Markham oczekiwał w oberży w któréj się zatrzymał nadejścia wolnéj ówczesnéj poczty, mającéj mu przywieźć pieniądze od jego przyjaciela i pana lorda C. Był strapiony i upokorzony spotkaniem z kapitanem Fanny. Po raz drugi bowiem w życiu został zwyciężony i pokrzywdzony niemogąc się pomścić. Sędzia miejscowy przed którym zaniósł swą skargę, opowiedział mu tylko kilkanaście podobnych wypadków, zaszłych w ostatnich dniach kilkunastu i radził, aby się pocieszył po stracie konia, dopełniając zleceń jakie miał do Sommerset, zleceń nie przynoszących żadnéj korzyści. Podczas gdy Darrell zaczął zwolna odbywać swą dalszą podróż, a Sally Pecker i inni mieszkańcy Compton gotowali się na obchód świąt Bożego Narodzenia, Emilja Duke wyglądała ciągle powrotu męża. Wszyscy mieli go już za umarłego, ona tylko jedna niemogła się oswoić z tą myślą, zdawało jéj się że bałwany rozhukanego oceanu nie mogły w żaden sposób pochłonąć Jerzego Duke i w posępnéj obawie sądziła że go ujrzy za lada chwilę. Co rano budziła się z myślą że za nim dzień się skończy zobaczy groźną postać męża, drżała na odgłos kroków przechodnia na ulicy i na każde klamki u drzwi poruszenie. Spotkanie z cieniem kapitana w Marley, dodało zabobonną jakąś obawę do wstrętu jaki zawsze miała do niego. Sądziła że Jerzy Duke posiada jakąś czarodziejską władzę, że może być przy niéj i szpiegować ją w każdéj chwili. Wyobrażała sobie nawet że przeciąga swe oddalenie jedynie dla tego, aby się zjawić w chwili gdy zapomniawszy go zupełnie, uczuje się szczęśliwą i swobodną. Życie jéj samotne przy braku wyższego wykształcenia, a poetycznym nastroju ducha, powieści owego czasu, które były jedyną karmą jéj umysłu, wszystko to razem wzięte, powinno uczynić pobłażliwym czytelnika, na podobne usposobienie młodéj kobiety. Ringwood Markham nie pisywał nigdy do siostry, słyszała tylko od obcych ludzi że prowadził życie bardzo rozrzucone i tracił pieniądze, nie przyszło jéj jednakże nigdy na myśl, żeby przeżyć go mogła i odziedziczyć piękną i wspaniałą posiadłość, w któréj na świat przyszła.

Sara Pecker zajęta była cała przygotowaniem na Święta; karmne gęsi i indyki, tłuste kapłony i wołowe polędwice, wisiały na hakach w spiżarni, gdzie wszystko z resztą zdradzało wielką obfitość. W kuchni zarówno jak w całéj oberży, Sara by-

ła bóstwem wszechwładném. Podzas gdy Betty kucharka skubała drób, pani jéj zajmowała się ciastami i pudingiem, który nazajutrz miał być wniesiony tryumfalnie do wielkiéj gościnnéj sali, z zapalonym w pośrodku arakiem. Zajęcia te były tak ważne że i pani i służąca, o dziewiątéj godzinie w wieczór siedziały jeszcze w wielkiéj kuchni Czarnego Niedźwiedzia, oddzielonéj od reszty pokoi sienią i długim korytarzem, tak żeby brzęk talerzy i zapach potraw niedolatywał gości. Sara pracowała z samą tylko kucharką, gdyż dwie inne służące zajęte były wraz z Samuelem, usługą gości przybyłych dyliżansem z Carlisle. Lekkie przymrozki, radujące czas jakiś mieszkańców Compton ustały pod same Święta, deszcz rzęsisty uderzał o szczelnie zamknięte okiennice.

Niepamiętam od dawna tak brzydkiego czasu, rzekła mistress Pecker zamykając drzwi któremi wyjrzała na dwór, deszcz leje strugami prostemi jak linje które Samuel kreśli pomiędzy numerami swych rachunków. Boże Narodzenie nie jest Bożém Narodzeniem pod taką porę, należało nam raczéj przygotować na jutro kurczęta i placek z wiśniami jak na wiosnę. Tak jest wilgotno i gorąco, że prawdziwie niepodobna znieść dobrego ognia. Służba z pod Czarnego Niedźwiedzia, znała wartość spokojnego życia w dobrém miejscu i dla tego nie sprzeciwiała się nigdy zdaniu swéj pani, naturalnie więc wypadło, że kucharka zgodziła się od razu na zbytnie gorąco. Drzwi wychodzące na dwór z kuchni, przepuszczały za zwyczaj do oberży mniéj znakomitych gości, jako to: kramarzy wiejskich których towary zakupowała mistress Pecker, lub włoczęgów, próżniaków, i t. p. ludzi, wyganianych surowo przez jéj służące. Obecnie Sara wyglądała tędy przybycia posłańca, który miał przywieźć pakę z korzennego sklepu sąsiedniego miasteczka.

— Parwis niepowraca, rzekła, gdy wybiła dziewiąta godzina, a mnie już wkrótce potrzeba będzie rodzynków do przełożenia ciasta. Przeklęty gaduła pije i rozprawia gdzie się tylko zatrzyma.

Betty szepnęła z cicha, że zapewne z powodu Świąt częstują go wszędzie, lecz Sara powstrzymała surowo to tłumaczenie posłańca.

— Święto czy nie święto, ludzie, powinni zważać więcéj na to z czego chleb mają, aniżeli na częstunki; za nadto długo już trzymam oberżę, abym się nieznała na wartości tych wszystkich, co to zawsze pić gotowi gdy się trafi okazja.

W téj chwili jak gdyby winowajca słysząc gromy spadające na jego głowę powracał aby się usprawiedliwić, zastukano do okiennicy.

— Otóż mamy go, zawołała Sara, zapewne także z powodu Świąt nie umie rozróżnić drzwi od okna. Betty idź odbierz prędzéj sprawunki, potém zaś wyjmiesz z méj kieszeni pieniądze, bo sama nie mogę po nie sięgnąć mając ręce zwalane mąką.

Betty wybiegła na dziedziniec, lecz powróciła mówiąc że to nie Parwis stukał, tylko jakiś kramarz wędrowny, mający do zbycia jedwabie i koronki.

— Jedwabie! koronki! nie potrzeba mi tego, idź powiedz temu włóczędze niech sobie zaraz precz pójdzie. Betty poszła znów do drzwi, lecz kramarz ustąpić nie chciał, póki się nie zobaczy z gospodynią Czarnego Niedźwiedzia.

— Nie chce odejść, zawołała groźnie Sara, tak głośno, aby ją dosłyszano za drzwiami, zobaczemy, powiedz mu że nie braknie policji w Compton na wypędzenie włóczęgów.

— Ale dla mnie nie będziesz tak surową, mistress Pecker, rzekł kramarz wchodząc do izby.

Był to wysoki i barczysty mężczyzna, z dużym haczykowatym nosem i czarnemi przenikliwemi oczyma. Płeć miał brązowego koloru, ubiór brudny i niedbały, jednakże coś nakształt djamentowéj spinki lśniło na jego żabocie, a na palcach błyszczały pierścienie, które mogły być zarówno złote jak mosiężne.

— Będziesz tak dobrą mistress Sally, że obejrzysz towary moje i każesz dać coś posilającego biednemu człowiekowi, przy wigilji Bożego Narodzenia.

Jakkolwiek ręce mistress Pecker ubielone były w mące, niewyrównały jednakże w téj chwili kolorem, bladości jéj oblicza tak rumianego zazwyczaj. Po raz pierwszy

gospodyni Czarnego Niedźwiedzia, jak to powiadają, zapomniała języka w gębie.

— Możesz wejść, rzekła wreście głosem stłumionym i słabym, upadając na najbliższe krzesło. Betty moje dziecię, idź na górę, a ja tymczasem rozmówię się z tym człowiekiem.

Ale kucharka nie miała ochoty stracić ani słowa, z rozmowy pani z kramarzem i jakkolwiek nawykła słuchać, tą razą ośmieliła się niewykonać odebranego rozkazu.

— Jeżeli rzecz idzie o jedwabie i koronki, niech pani pozwoli abym została, bo się znam na tém lepiéj niż kto inny. Pani u któréj miałam ostatnią służbę, kupowała często podobne towary od żydów i od kramarzy, przeto wiem ich cenę....

— Nie wątpię o twéj mądrości moja córko, rzekł kupiec, lecz pewien jestem że pani twoja potrafi i bez ciebie wybrać sobie suknię, wyjdź więc z kuchni, czy słyszysz?

— Patrzcie go! będzie mi rozkazywał, rzekła Betty wstrząsając głową i nie ruszając się z miejsca.

— Czy słyszysz co mówię? zawołał grubiańsko kramarz.

— Nie wyjdę ztąd na twój rozkaz, nie chcę aby pani moja pozostawała sam na sam z podobnym człowiekiem, trzy srebrne łyżki leżą na stole, a zegarek pani wisi nad kominem, szepnęła potém do ucha Sary.

— Idź moje dziecię, odpowiedziała jéj również cicho mistress Pecker, za dziesięć minut mogę wybrać suknię, a jeżeli ten człowiek chce pomówić ze mną na osobności, nie można mu tego wzbraniać. Wstała potém z trudnością, odprowadziła do drzwi prowadzących w głąb oberży kucharkę i zamknęła je za nią na klucz. Wróciwszy na swoje miejsce, zastała już kramarza palącego fajkę i grzejącego się przed ogniem.

— Czy ułożyłaś wszystko w ten sposób, żeby nas nikt nie podsłuchał? zapytał.

— Tak.

— Nie stoi kto czasem pode drzwiami przy dziurce od klucza?

— Nie.

— To dobrze — teraz więc posłuchaj mię Saro Pecker.— Treść téj rozmowy pozostała wiadomą saméj tylko gospodyni Czarnego Niedźwiedzia, jakkolwiek bowiem Betty przysuwała ucho do drzwi i zaglądała przez wszystkie szczeliny, widziała tylko blask ognia na kominie i słyszała szmer stłumionego grubego głosu kramarza. Szmer ten ustał w końcu i zdawało się że człowiek ów wyjść musiał, lecz mimo to mistress Pecker drzwi nie otwierała.

Betty stała jeszcze w korytarzu z dobry kwandrans, zadziwiona jednakże tém dziwném milczeniem zapukała do drzwi wołając:

— Niech mi pani otworzy, ciasta się popalą jeżeli do nich nie zajrzę!

— Nie odebrała żadnéj odpowiedzi. Pani! pani! wołała jeszcze głośniéj — nikt się nie odezwał znowu. Serce Betty uderzało prędko, nie umiała sobie bowiem wytłomaczyć tego złowrogiego milczenia, zaczekała jeszcze parę minut a potém zaczęła krzyczeć przeraźliwie i pobiegła uwiadomić o tém co zaszło pana Samuela Pecker. Samuel siedział spokojnie popijając poncz gorący wraz z kilkoma kupcami z Compton, gdy przestraszona dziewczyna wpadła do sali wybladła i drżąca.

— Co ci się stało Betty? zapytał, był on tego wieczora weselszy, czyli raczéj mniéj smutny jak za zwyczaj dzięki rozmarzającemu trunkowi. Co się stało powtórzył podnosząc śmiało głowę jak gdyby chciał powiedzieć jeszcze: czyżby kto śmiał powiedzieć że się upiłem?

Kucharka stała w progu patrząc na niego w milczeniu i oddychając z trudnością,

— Co to jest Betty?

— Moja pani, panie.....

Coś nakształt promienia radości, lub też bladego promyka objawu duszy, o któréj pastor miejscowy prawił zawsze Samuelowi, zajaśniało na obliczu tegoż, w chwili gdy pytał nieśmiało:

— Czy pani zasłabła, Betty?

— Nie panie, lecz jakiś obcy wędrowny kramarz o ciemnéj cerze i groźnéj postaci chciał się widzieć z naszą panią; chciałam go odprawić strasząc policją miejscową, lecz mimo to pozostał, miał pokazywać su-

knie jedwabne.... pani mię wyprawiła z kuchni i drzwi od korytarza na klucz zamknęła.... jest już temu może więcéj niż godzina... i wybacz pan, ale zdaje mi się, że on porwał panią...

Promień jaśniejszy nieco niż pierwéj, zabłysł znów na licach gospodarza, gdy Betty z trudnością wymawiała ostatnie wyrazy.

—Twoja pani jest dość ciężka, szepnął, powiedz mi Betty czy to był silny i barczysty człowiek?...

—Byłoby z niego dwóch takich jak pan, odparła dziewczyna.

— To być może, jednak dwóch ludzi mego wzrostu nie dałoby rady Sarze.

Samuel tak filozoficznie przyjmował ten wypadek, że służąca poczęła się już niecierpliwić.

— Wejście od korytarza zamknięte, czy nie lepiéjby więc było, gdybyśmy poszli z latarnią do kuchni przez drzwi od dziedzińca? rzekła.

Samuel kiwnął głową.

— Dobrze mówisz, przynieś latarnię to pójdę z tobą, lecz, dodał zastanawiając się chwilę, tyle różnych dróg krzyżuje się w Compton, że jeżeli ten człowiek porwał twoją panię, to wszystkie poszukiwania nasze będą próżne.

Betty nie chciała widać rozważać tego ostatniego wypadku, bo zapaliła szybko świecę i poszła naprzód ku drzwiom od dziedzińca. Zastali tam już posłańca Parvisa.

— Stukam już oddawna i nikt się nie odzywa, wyrzekł.

Wszystko troje weszli razem pośpiesznie do kuchni, kramarza już niebyło tylko Sara leżała zemdlona na podłodze nie dając żadnych znaków życia.

Podniesiono ją i cucić poczęto zimną wodą z octem, Betty nadto jeszcze zapaliła pióro i przeciągnęła jéj pod nosem.

— Założyłabym się rzekła, że skradziono zegarek i łyżki.

Mistress Pecker otworzyła zwolna oczy. Spostrzegłszy cichego i łagodnego Samuela czekającego niecierpliwie jéj powrotu do życia, niezważając już na obecność kucharki i posłańca, rzuciła mu się na szyję i łkając wołała z uczuciem;

— Byłeś dla mnie zawsze najlepszym mężem Samuelu Pecker, ja zaś nie jestem dość pobłażającą względem ciebie, Bóg też ukarze mię srogo w tém i w przyszłém życiu, bo kocham cię, kocham prawdziwie mój drogi mężu!

Widok tego nagłego i niezwyczajnego wzruszenia przeraził Samuela, jego drobne niebieskie oczy zwilżyły się lekko, spoglądając na tonącą we łzach małżonkę.

— Nie mów tego droga Saro, odparł, niepragnę bynajmniéj abyś lepszą dla mnie była, niechcę być szczęśliwszym niż jestem obecnie, gdybym miał nawet łagodniejszą żonę, czuję że byłbym zgubionym, teraz zwłaszcza gdy już nawykłem do twego obejścia.

—Niema łyżek i zegarka, zawołała Betty, obszukawszy po całéj kuchni tych przedmiotów i woreczek z pieniędzmi przepadł również, odgadłam odrazu że ten kramarz miał niedobre zamiary.

— Ach to prawda! wyrzekła smutnie Sara.

Wkrótce potém cała gmina Compton była świadkiem dziwnéj rzeczy, Sara Pecker skutkiem kradzieży popełnionéj w jéj domu przez nieuczciwego kramarza, zmieniła zupełnie swe obejście, zmiana ta szczególniéj widoczną była względem Samuela. Przeszły Święta, po mrozach nadeszły deszcze i wiosna zawitała, a Sara przemawiała zawsze słodko do swego zadziwionego męża i była dla niego nader uprzejmą i dobrą. Łagodny oberżysta z pod Czarnego Niedźwiedzia sądził że śni czarownie. Miał klucze od piwnic i mógł pić ile zechciał, nienadużył jednakże tego przywileju, bo był trzeźwym z natury. Słowem był teraz prawie panem w swym domu, zdarzyło się nawet jedną razą że mówił błagalnie do Sary:

— Moja kochana Sally, przemów choć raz do mnie surowiéj, bo czuje że mi się w głowie mąci.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Pijany lokaj sir Lovela Mortimer.

Mówiliśmy już że Ringwood Markham nie szczególnie się prowadził. W czasach w których szpady rzadko kiedy spoczywa-

ły w pochwach, młody panicz niewzbudzał żadnego dla siebie poszanowania swém pokojowém usposobieniem, ceniono w nim jedynie majątek zebrany skrzętnie i pracowicie przez ojca. Piękna posiadłość Compton tak była opisaną, że niemógł jéj sprzedać ani zadłużyć, gdy więc stracił gotowe pieniądze które również odziedziczył, uczuł że musi wybierać pomiędzy powrotem na wieś, a rzuceniem się w awanturnicze życie bez grosza przy duszy. Ringwood Markham nie kochał nigdy. Był on jednym z tych ludzi co silni przeciw burzom pochłaniającym nieraz wzniosłe dusze, bo zatopieni w piasku i błocie. Przez próżność jedynie oddawał się występkom do których niemiał żadnych skłonności, to też mimo że prześcigał nieraz swych towarzyszy w dziwacznych wyskokach, żartowali zawsze z niego, jako z niewieściucha o ładnéj twarzyczce i jasnych włosach. Spotkali się kilka razy w Londynie z Darrellem, lecz niezmniejszyła się przeto ich wzajemna niechęć. Darrell pogardzał głęboko bratem Emilji, ten zaś jedynie z obawy nieokazywał mu całéj swéj nienawiści, datującéj od owego spotkania u dzierżawcy Morisona. Z resztą też widywali się rzadko, bo Darrell stronił zwyczajnie od miejsc w których przemieszkiwał Ringwood, mając za nadto szlachetności w duszy, aby topić swe strapienie w pijaństwie. Walczył z własném sercem i wyszedł zwycięzko z téj walki. Wierny pamięci przeszłości, pozostał również wiernym swym obowiązkom. Marzenia jego bywały nieraz bardzo wyniosłe i pocieszały go prawie w chwilach, gdy pomiędzy kartami politycznego pamfletu, smutna twarz Emilji przesuwała się przed oczyma jego duszy. Myślał nieraz o świetnéj przyszłości lecz nigdy o szczęściu. Czasami tylko miewał jakoby niewyraźne przeczucie rozbicia okrętu Sępa, o zbrodniczéj i podartéj fladze, a spokojnego wylądowania na wybrzeżu życia dla siebie i dla Emilji.

Wśród lata, które nastąpiło po świętach Bożego Narodzenia pamiętnych okradzeniem Sary, w pięknym dniu czerwcowym podczas sianokosu, Ringwood Markham zajął nędzne mieszkanie w sąsiedztwie Bedfort Street. Pieniądze młodzieńca wyczerpywały się do reszty, mimo jednak, że musiał porzucić swój piękny apartament, odprawić lokaja który podchlebiając mu bezczelnie przez dwa lata, chodził w jego rzeczach i kradł drobną monetę nigdy nie schowaną pod klucz, mimo że już niemiał za co wyprawiać sutych kolacji i opłacać szklanek tłuczonych na wiwat, przy każdym wzniesionym toaście, mimo to wszystko, Ringwood znalazł zawsze możność występowania w pięknéj morelowéj sukni, lśniącéj od srebrnego haftu i ukazywania swéj eleganckiéj osoby i ładnéj twarzy, w miejscach uczęszczanych zdawna. Spędzał w łóżku pół dnia, poczem do wieczora próżnował przystrojony w brudny atłasowy szlafrok, poplamiony teraz równie gęsto jak był niegdyś zahaftowany cierpliwemi palcami Emilji. Przynoszono mu z sąsiedniéj garkuchni obiad, wraz z gazetą zalaną piwem, którą decyfrował uważnie nieumiejąc dobrze czytać, aby w wieczór pochwalić się przed przyjaciołmi wiadomościami swemi. Słońce czerwcowe oświecało nędzną jego izdebkę, pyszny strój wieczorny i resztki śniadania, gdy służąca najęta weszła w przydeptanych trzewikach, oznajmując że pan Darrell Markham pragnie się z nim rozmówić. Ringwood rzucił okiem na komin gdzie rozrzucone były różne wojownicze narzędzia, jako to połamane szpady, pistolety, etc. i nieśmiałym głosem kazał prosić gościa.

Darrel wbiegł szybkim krokiem zanim jeszcze służąca przyzwać go zdołała.

—Niepotrzebujemy robić ceremonji z sobą, wyrzekł na wstępie, ani też chować w sercu nienawistnych uczuć, chciałbym pomówić o twéj siostrze.

— O Emilji?...

Twarz Ringwooda wyraziła wielką ulgę, skoro dowiedział się przyczyny odwiedzin Darrella.

— Tak jest, chciałem pomówić o mistress Duke, musisz przecie wiedzieć czy żyje, lub czy umarła?

— Emilja rzadko kiedy pisuje do mnie, rzekł niby tłomacząc się ze swéj niewiadomości młodzieniec; czy jéj się co złego przytrafiło?

— Nie wiem, czy to co się stało jest złém lub dobrém dla méj krewnéj, ale ka-

pitan Jerzy Duke, wydalił się od półtora roku i odtąd niebyło żadnéj wiadomości o nim.

Ringwood Markham odetchnął z trudnością i roztworzył oczy, chcąc w ten sposób wyrazić swe wzruszenie. Za nadto bowiem wielkim był samolubem, aby ukryć zręcznie, że wypadki najbliżéj dotyczących go osób są mu obojętne.

Darrell przechodził się wielkim krokiem, brzęcząc ostrogami, po na wpół zjedzonéj od robactwa podłodze.

— Dziś dopiero uwiadomiła mię o tém w swym liście Sally Pecker, od ośmiu miesięcy nie słyszałem nic o Compton, gdyż bolesne mi było każde wspomnienie o téj stronie, dziś więc Sally pisała do mnie, że nikt tam niespodziewa się już powrotu kapitana za wyjątkiem Emilji.

— A ty co myślisz o téj sprawie?

— Ja myślę że kapitan Jerzy Duke i okręt jego *Sęp*, ulegli zwykłemu losowi żeglarzy, wywieszających fałszywą flagę. Znam ludzi którzy mi powiadali że widzieli na wybrzeżach marokańskich okręt zwany *Sępem*, miał on czarną banderę u wielkiego masztu i mnóstwo niewolników murzynów przykutych na pokładzie. Znam także ludzi którzy powiadają że statek ten trudni się nieludzkim handlem i że są miejsca w których obawiają się więcéj przybycia kapitana Jerzego Duke, aniżeli żółtéj febry. Ach Boże! gdyby to było prawdą, że los od dawna zasłużony spotkał tego człowieka, że Emilja wolną pozostała?

— Wolną?...

— Tak jest, że wolno jéj zaślubić teraz kogo zechce, zawołał z zapałem Darrell.

Ringwood Markham miał tyle tylko dowcipu, że umiał zawsze dokuczyć gdy chciał to uczynić. Przypomniał sobie zajście u dzierżawcy Morisona i wyrzekł złośliwie.

— Emilja niebędzie nigdy wolną, dopóki nie odbierze uwiadomienia formalnego o śmierci męża, jeżeli zaś Jerzy Duke trudni się rzemiosłem o którém wspominałeś, trup jego może w proch się rozpaść na jakim odludném wybrzeżu, a nikt o tém wiedzieć nie będzie.

Półtora roku już ubiegło jak nie ma go w domu, jeżeli niepowróci za lat siedm od chwili w któréj opuścił żonę, Emilja podług prawa wolną będzie.

— Czy tak jest w istocie?

— Słyszałem o tém od dzieciństwa, półtora roku już ubiegło, jeszcze półpięta mam do wyczekiwania. O moja droga Emiljo! z taką nadzieją w sercu czas ten przeleci mi szybko jak błyskawica!

Darrell wymówiwszy te słowa, rzucił się na krzesło zakrywając twarz rękami. Ringwood Markham nie mógł wytrzymać aby mu nie powiedzieć znów przykrości.

— Nie zdziwiłbym się rzekł, gdyby kapitan powrócił jeszcze przed końcem lata, bo o ile go znam, to wiem że nie tak łatwo da się pokonać, czy to na lądzie czy na morzu.

Darrell nie słyszał nawet téj uwagi, bo myśli jego pływały po oceanie szczęśliwéj przyszłości. Powstał wreście i rzekł postępując ku drzwiom:

— Słuchaj mię Ringwoodzie, nie przyszedłem tutaj aby z tobą rozprawiać o uczuciu; jeżeli Jerzy Duke niepowróci wkrótce, Emilja pozostanie prawie bez środków do życia. Ja nie mam nic prawie, lecz jestem jéj krewnym i mam prawo czuwać nad nią, nie chcę jednak aby wiedziała o tém, ty zaś ze swéj strony jako brat, staraj się aby jéj nie brakło na niczém, co przyjemność sprawić może w jéj samotném życiu.

Gdyby Ringwood mniéj się obawiał swego silnego krewnego, byłby pewno coś napomknął o własnym niedostatku, lecz wyrzekł tylko smutnie:

— Zrobię co będę mógł Darrell'u.

Darrell po raz pierwszy od dawnych czasów uścisnął jego rękę i wyszedł nie zabierając mu dłużéj czasu, potrzebnego do stroju na zabawę wieczorną. Po odejściu krewnego, Ringwood przywdział suknię morelową ze srebrnym haftem i na ufryzowanéj głowie położył ostrożnie trójgraniasty kapelusik. W owych czasach gdy olbrzymie peruki były w modzie, młody człowiek pysznił się ze swych długich i gęstych włosów, które spadały z gracją w pukłach naturalnych na wązkie czoło. Tego wieczora zajął się strojem z większą starannością niż zazwyczaj, miał bowiem spotkać się w Ranelagh z wesołém towarzy-

stwem, w którém rej wodził pewien baron przybyły z hrabstw wschodnich, zwany sir Lovelem Mortimerem. Znany on był więcéj w handlach winnych aniżeli w arystokratycznych salonach, przewyższał jednakże Ringwooda wykwintem ułożenia i stroju. Wielkie panie patrżały z przyjemnością na zgrabną postać barona gdy tańczył menueta i nie jeden wzrok błyszczący, odpowiedział słodkiém spojrzeniem, jego czarnym niespokojnego wyrazu oczom. Wyraz ten który Darrell zauważał już w sali zajazdu w Reading, był jeszcze widoczniejszy wpośród świetnego zebrania w Ranelagh. Sir Lovel nosił tego wieczora suknię białą aksamitną, haftowaną w różowe pączki jedwabiem i drobnemi fałszywemi djamentami, na rękojeści zaś od jego szpady i sprzączkach trzewików, prawdziwe błyszczały kamienie. Zręczny i uważny badacz byłby łatwo dostrzegł, że baron niemiał żadnych znajomości w świecie arystokratycznym i że w ogóle nie znał prawie nikogo więcéj, prócz czterech młodych ludzi którzy mu towarzyszyli, a pomiędzy któremi był także Ringwood Markham. Okoliczność ta może tém trudniejszą była do zauważania, że sir Lovel zmieniał bezustannie miejsce. Ringwood był zachwycony tak dystyngowaną znajomością, nie umiał on bowiem dostrzedz różnicy, zarówno pomiędzy fałszywemi a prawdziwemi djamentami sprzączek Mortimera, jak też pomiędzy jego układem, a obejściem prawdziwych hrabiów, markizów i baronów, którzy przykładali do oczu szkiełka aby mu się przypatrzeć. Gdy sir Lovel po skończonym balu zaproponował kolację w swym apartamencie w Cheyne-Walk, chętnie pierwszy przyjął zaprosiny.

Mieszkanie barona nie leżało w Cheyne-Walk jak się to późniéj pokazało, lecz w odludnéj ustronnéj uliczce prowadzącéj do rzeki.

Sir Lovel zastukał dość mocno we drzwi, zatrzymawszy się przed niewielkim domkiem o ciemnych oknach. Ringwood który już był mocno podchmielony, aby mu dopomódz uderzył jeszcze silniéj.

— Nie mamy potrzeby budzić wszystkich mieszkańców téj ulicy, panie Markham, rzekł sir Lovel widocznie nieukontentowany. Mój lokaj nie śpi i czeka na nas. Zdaje się jednak że tak nie było, albowiem gdy odsunięto rygle po niejakim czasie, młodzi ludzie wszedłszy do domu znaleźli się pogrążeni w ciemnościach.

— Cóż to znaczy? widzę zaspałeś przeklęty próżniaku, zawołał sir Lovel.

— Tak, odparł z głębi głos gruby i zachrypły, podobno na prawdę zasnąłem.

— Jesteś pijany łotrze, przynieś nam światło, czy słyszysz?

— Szukam krzesiwa i świecy, odparł tenże sam głos.

Wkrótce światło zabłysło oświecając twarz mówiącego, był on pijany i chwiał się na nogach, odzież miał brudną i podartą, oczy zaczerwienione od trunku, włosy jego smaliły się przy zapalonéj świecy którą zbyt blizko do głowy przysunął, krawat zaś wisiał na szyi niby postronek od szubienicy. Ringwood Markham zadrżał mimowolnie spojrzawszy na pijanego lokaja sir Lovela Mortimer, poznał w nim bowiem szwagra swego kapitana Jerzego Duke. Nazajutrz o czwartéj po południu gdy Ringwood ze snu się przebudził, nabazgrał na kartce następujące wyrazy: „Jerzy Duke żyje, widziałem go téj nocy w jednym z domów w Chelsea.“

Do usług twoich

R. Markham.

Potem złożył tę kartkę w formę listu i zaadresował:

Do Pana Darrell'a Markham

w domu hrabiego C. Saint-James-Square.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Dom w Chelsea.

Darrel wyjechał na czas jakiś z Londynu za interesami swego pana, właśnie wtedy gdy posłaniec przyniósł do jego mieszkania bilecik Ringwooda. Odebrał go w tydzień dopiero gdy powrócił do Saint-James-Square; przeczytawszy zmiął w ręku papier, wsunął go do kieszeni i pobiegł czemprędzéj do Bedford-Strett.

Zastał Ringwooda w łóżku, z romansem Fieldinga w ręku który powoli sylabizował. Potłuczone garki, butelki i resztki jedzenia leżały na stole.

— Co to znaczy Ringwoodzie? rzekł Darrell pokazując mu jego pismo.

— Co? zapytał Ringwood z wyrazem głupowatego podziwu, niewytrzeźwiał bowiem jeszcze zupełnie po ostatniéj uczcie na któréj się uraczył.

— Co znaczy ten list i kłamstwo w nim zawarte? Jerzy Duke w Anglji? Jerzy Duke w Chelsea? czy to być może? mów!

— Nie bądź tak porywczym, odparł Ringwood, odrzucając na bok książkę, pozwól mi zebrać myśli, co zaś do zarzutu kłamstwa powinieneś być bardzo ostrożnym, mając do czynienia z człowiekiem mnie podobnym. Zapytaj w okolicach Covent-Garden, czy nie zagroziłem pewnemu kapitanowi okrętu który mię obraził, że mu rzucę spluwaczkę na głowę; byłbym to nawet uczynił niebawnie, gdyby mię wprzód nie był powalił o ziemię. Co do mego listu jestem gotów bić się za prawdę tego co w nim napisałem, tylko powiedz mi pierwéj o co rzecz idzie?

— Czytaj sam, rzekł Darrell list mu podając, Ringwood sylabizował swoje własne pismo z taką trudnością, jak gdyby było w języku greckim lub hebrajskim, doczytawszy się wreście rzeczy wyrzekł:

— Mniejsza już o list ten, lecz to jest świętą prawdą że widziałem Jerzego Duke kapitana Sępa, w obowiązku lokaja, u mego eleganckiego przyjaciela z Devonshiru sir Lovela Mortimer, cóż na to powiesz? wypełniał wszystkie rozkazy pana swego jak najnikczemniejszy służalec i cóż ty na to? Był tak pijanym że mu się pan położyć rozkazał, wyłajawszy go okrutnie zanim miałem czas przemówić do niego, no cóż mówisz o tém?

— Co ja mówię o tém? rzekł Darrell wzruszony chodząc po pokoju, ale sądzę że to być nie może... że ci się zdawać musiało chyba....

— Jakto, więc myślisz że mi się zdawało, że tak nie jest? doprawdy Darrell'u jesteś bardzo niegrzecznym, korzystasz bowiem z tego że u mnie broni niema, aby mię robić kłamcą lub warjatem. Powiadam ci raz jeszcze że widziałem Jerzego Duke pijanego i wypełniającego służbę lokaja, u mego przyjaciela sir Lovela Mortimer.

— Czy Jerzy Duke poznał cię nawzajem?

— Wszak ci mówiłem że był pijany i nieprzytomny, jakże mię mógł poznać skoro pewno widzieć mię nie mógł. Chciałem do niego mówić, ale za nim otworzyłem usta, sir Lovel kopnął go nogą spać wysełając. Zmiarkowałem też potém że byłoby rzeczą przykrą dla mnie, obznajmiać z interesami familijnemi barona, uwiadamiając go, że ma za lokaja mego szwagra.

— Ale potem czy nie dowiadywałeś się o tego łotra?

— Tak jest. Mówiłem sir Lovelowi że twarz jego lokaja była mi gdzieś znaną i pytałem zkąd go ma, odpowiedział że nie wie nic innego o nim, jak że służy u niego od roku, że jest bardzo wiernym i że za nadto lubi trunki.

Darrell nic nie mówił przez chwilę, tylko chodził zamyślony.

(D. c. n.)

O UBIORACH.

Dziwaczna mieszanina kolorów zapanowała obecnie w strojach francuzkich, jak to wskazuje rycina nasza w Paryżu odbijana. Widać jednak że jedynie po domu ubierają się podobnie, skoro młoda osoba ustrojona w prążkowaną różową muślinową spódnicę i kaftaniczek zwany *Turkos*, niebieski z różnokolorowém tureckiém obłożeniem, polewa kwiaty w ogrodzie. Druga figura ryciny, przedstawia ubiór złożony ze spódnicy z żółtéj tafty, wygarnirowanéj w deseń *greque* ruszką z ciemno popielatego *poult de soie* i takąż falbanką u dołu. Pasek szwajcarski jest z tego samego materjału, równie jak i ozdoby białéj muślinowéj bluzki. Czarna koronka na głowie, podpięta dwoma *choux* z téj saméj materji co spódnica, dopełnia tego oryginalnego ubioru. Oglądałyśmy w tych dniach u pani Włodkowskiéj kilka świeżo zrobionych sukien. Fjoletowa baréżowa była z okrągłą pelerynką, zakończoną spadającemi z tyłu szarfami. Brzegi szarfy i pelerynki garnirowała falbanka, po nad którą szła na cal szeroka listewka z czar-

nego fularu oszyta koroneczką, na spódnicy były okrągłe zęby przedzielone w środku szczebelkami także z fularu i otoczone u dołu bareżową falbanką. Druga suknia gładka zupełnie, z białego muślinu w szafirowe (bleu mexique) prążki, za całą ozdobę miała szarfę jedwabną tegoż koloru, oszywaną wązką frendzelką do koła i rozpadającą się aż na pięć końców, z których dwa dłuższe, a trzy (jeden w pośrodku, a dwa po bokach długich końców) znacznie krótsze były. Skromna również muślinowa sukienka na tle białém w rzucik *mille fleurs*, oszyta była u dołu dwoma falbankami przedzielonemi wodami, i jedne i drugie zakończała wązka czarna koroneczka. Suknia bareżowa jasnego koloru hawanna, stanik miała wyszyty pliską czarną fularową i z takich plisek u dołu rodzaj płotka szerokiego na ćwierć łokcia. Oglądałyśmy ładne siateczki dla młodych osób, przerabiane perełkami szklannemi w różnych kolorach po złp. 8 i czarne posiane złotemi blaszkami po złp. 6 gr. 20. Także bardzo piękne długie modne teraz kolczyki, z imitacji złota i korali po rs. 4 — oraz szerokie mocno złocone klamry do pasków po rs. 5. Do magazynu p. Włodkowskiego nadeszły fulary w różnych kolorach w drobne rzuciki i pasy tureckie na tle czarném, hawanna, lub fioletowém, pierwsze po zł. 150 i 180 sztuczka, drugie po złp. 200. Z takiéj sztuczki można zrobić suknię z paletocikiem lub ze zwyczajnym stanikiem. U pana Penkali, dawniéj Szlenkera, pokazywano nam muśliny różno kolorowe po złp. 90 sztuczka, z wyrabianemi szlakami do spódnicy i do staników, z tak zwanemi baskinami frakowemi, które tworzą z tyłu rodzaj szarfy. Muślin biały miał cieniowane szlaki fioletowe, takież same szlaczki do kieszonek, rękawów i okrągłe talarki do obszycia guzików. Druga taka suknia na tle hawanna, miała skośno rzucone od dołu do góry spódnicy gierlandy z kwiatów i takież szlaczki do obszycia kaftanika i kamizelki. Widziałyśmy także pasowane podobne suknie z moheru koloru hawanna, wystrój ich był w deseń czarny i czarny z białym. Mohery w sztuczkach, na tle gładkiém w różnych kolorach, miały w prostéj linji szkockie szlaki, tak że cała suknia wyglądała jak gdyby naszyta wstążkami szkockiemi. Pan Penkala sprowadził również znaczny zapas okryć jesiennych i zimowych w bardzo nizkich cenach, bo poczynając od dziesięciu rubli. Późniéj opiszemy je po szczególniéj, teraz zaś wspomniemy o licznym wyborze jedwabnych materji które nam pokazywano. Szerokość wszystkich zwyczajna, łokieć lub więcéj trochę, ceny zaś i nazwy rozmaite, jako to: *taffetas* na tle w różnych kolorach prążki czarne po złp. 9. *Etoffe persanne* na tle czarném, fioletowém, lub hawanna, pasy tureckie, po złp. 12 łokieć *Mille raies* drobniuchno prążkowana materja i *Pointillée* drobno centkowana, we wszystkich gładkich kolorach po złp. 10. *Gros de Suez façonné*, na kropeczkach drobnych, większe kanciaste atłasowe muchy, kolor *violette de Parme* to jest fiolet wpadający w szafir po złp. 12. *Racimora* gruba materja kropkowana po złp. 13 i gr. 10. *Ombré* w prążki cieniowane po złp. 11 — oraz materje na tle zupełnie czarném, w wązkie kratki lub prążki w różnych kolorach. Pani Adela Hoffmanowa któréj magazyn zwiedziłyśmy także, powiadała nam że krój sukien zawsze mniéj więcéj ten sam. Rękawy pojawiają się zamknięte i płaskie, lecz najwięcéj noszą jak wpierw, pół szerokie, otwarte u ręki. Bawety i to nie zbyt przedłużone, dają się jedynie z przodu do bardzo ciężkich sukien dla otyłych osób, zaś w ogóle baskiny nie powinny bywać przy lekkich sukniach Spódnice robią się zawsze powłóczyste, na ulicy jednakże można je skracać unosząc w górę. Tak podpięta suknia zowie się *à la Jeannetton*, trzeba jednakże uważać aby spódnica kolorowa pod spodem nie była zbyt krótka, lecz przeciwnie dotykała *koniecznie* ziemi, nic bowiem śmieszniejszego i mniéj przyzwoitego, jak owe krótkie spódniczki odkrywające całą nogę i kołyszące się na niekształtnéj a szerokiéj krynolinie. Widziałyśmy u pani Adeli, suknię ranną z białego w ciemny rzucik perkalu, z kaftanikiem krótkim i szerokim, zwanym *à la marinière*, który stroiła biała bawełniana pasmanterja. Inny kaftaniczek kroju zwanego *à la Jean Barth* był zupełnie podobny do pierwszego, tylko przody oba otwarte u góry, a u dołu skośnie pościnane były. Suknia gładka tarlatanowa biała przeznaczona na uroczystość weselną, miała siedmnaście łokci obwodu u dołu, u góry zaś nie była szerszą jak zazwyczaj, szwy na spódnicy były zupełnie nie widzialne, krój podobny ma być bardzo trudnym do wykonania. Nic piękniejszego jak ten obłok przezroczysty i biały, gdy przystraja młodą osobę. Szarfa do téj sukni była z wstążki zwanéj *jardinière*, na białém tle któréj biegła wzdłuż gierlanda z różnokolorowych stokroci. Widziałyśmy jeszcze inne śliczne szarfy szkockie ze wstążki na półtoréj ćwierci łokcia szerokiéj i drobniuchno różnokolorowo prążkowanéj *à mille petites raies*, także wstęgi szerokie aksamitne, w czarne i ponsowe pasy, do obszywania kolorowych spódnic. Ze ślicznych kapeluszy wykonanych w tymże magazynie podobały nam się najwięcéj: Krepowy biały, strojny białą jedwabną koronką, słomianą frendzlą i pękiem polnych kwiatów i kłosów, krepowy lilla ozdobiony białym marabu-

tem, z główką z białéj jedwabnéj koronki, w którego białe również podgarnirowanie, wetknięta była polna róża z liściem orzechowego koloru, zielony *poult de soie* we dwóch cieniach, przystrojony we fioletowe winogrona z zielonemi liśćmi i koronką czarną. Co do kapeluszy otwartych o dziwacznych kształtach, wyśmianych w Paryżu pod nazwą *roquets*, tych nie ma całkiem u pani Adeli, oglądałyśmy więc tylko kilka zwyczajnych kapelusików *Marguerite* z których podobał nam się ryżowy paljowego koloru, strojny w czarny aksamit i pawie piérka, oraz z cienkiéj słomki brukselskiéj, przybrany białą wstążką i białemi koguciemi piórkami. Do magazynu pani Cronier przy ulicy Śto Krzyzkiéj, nadeszły bardzo ładne kapelusze naśladujące do niepoznania cienką słomkę ryżową po złp. 20 bez ubrania, co wypada nie drogo bo od 12 do 15 rs. gdyż prawdziwe ryżowe téj cienkości dużo więcéj kosztują, bo od 12 do 15 rs.

Kwiatów na których się różne owady kołyszą, przysyła nam Paryż zawsze pełno. A trzeba przyznać że to artystyczne wyroby podchwytujące cały wdzięk natury. Na wrzosach, jaskrach, rajgrasie, niedojrzałych jagodach zwanych jerzynami, siedzą, niby zamyślone polne koniki, na ogrodowych znowu kwiatach lśniący motyl się trzepoce. Są to prześliczne ozdoby do kapeluszy i innych ubrań głowy.

Sądząc że pomiędzy czytelniczkami naszemi znajdą się i takie, które zajmuje przystrojenie ołtarzy, oglądałyśmy w magazynie pana Zelta, świeżo tam sprowadzone materjały na przybory kościelne. Ceny ich wprawdzie bardzo wysokie, lecz są to rzeczy trwałe i piękne. Ornaty gotowe do uszycia po 27 rs. przedstawiały na tle jedwabném białém, pięknie wyrabianą jedwabiami głowę Chrystusa, w pośrodku krzyża, którego ramiona były ze złotego haftu w arabeskowy deseń. Słup takimże deseniem tworzył przód ornatu. Oprócz materji jedwabnych w wielkie desenie, były tam bardzo piękne srebrne i złote lamy w rzut z różnokolorowych kwiatów, również na ornaty lub kapy przydatne, łokieć po rs. 5 szerokości łokieć bez trzech cali i brokatele na białém tle rzut złoty, łokieć po złp. 60.

Objaśnienie tablicy rysunków.

N^er^ 1. Całość nocnéj koszuli ozdobnego kroju.

„ 2. Przód w zakładki do téjże koszuli.

N^er^ 3. Klapa do rękawa.

„ 4. Kołnierzyk batystowy dubeltowy u szyi, a pojedynczy gdzie wyszyte muchy atłaskiem. Spina się na kryte guziki.

„ 5. Mankiet do tego kołnierzyka, spinany na trzy kryte pod szlaczkiem guziczki.

„ 6. Figura całego rękawa.

„ 7 — 8 — Kołnierzyk i mankiet wyszyty wąziutką tasiemeczką. Mankiet spina się na spinki.

„ 9 — 10 — Szlaki do spódnic.

„ 11. Szlak do kapy na poduszki.

„ 12. Wstaweczka.

„ 13. do 20. Tarcza i cyfry do chustek od nosa.

„ 21. Stora do okna z szarego cienkiego płótna. Zęby u dołu obdziergane pąsową włóczką i wycięte; wyszycie arabeska tegoż koloru tasiemeczką, pasy zaś środkowe stanowiące przedział pomiędzy arabeskiem, czarnym sznurkiem lub tasiemeczką.

„ 22 — 23 — 24. Rogi chustek od nosa i kap na poduszki.

„ 25. Patarafka z sukna. Dobiera się guziki zwyczajne z perłowéj konchy, wielkości oznaczonéj na deseniu i te układać i przytwierdzać trzeba na suknie, zawlekając na nitkę mały pacioreczek srebrny; rzucik w pośrodku palmy wyszywa się paciorkami mlecznemi według deseniu.

„ 26. Całość patarafki. Wykończając ją wkłada się we środek tekturę i podszywa jedwabną podszewką.

„ 27. Litery kościelne na stułę. Z papieru grubego i sztywnego wycina się litery; przymocować je potem trzeba parą ściegami na materji aby się nie usuwały i pokryć ściegiem atłaskowym, kordonkiem żółtym lub białym.

„ 28. Szlaki szersze i węższe do wyszycia na skórzanych paskach szwajcarskich kordonkiem, ściegiem przeciąganym.

„ 29 — 30 — 31. Szlaczki i wstawki.

„ 32 — 33 — 34. Cyfry i imiona.



KÓŁKO DOMOWE

Wrzesień 1864


№ 11.
№ 10.
№ 12.
№ 1.
№ 7.
№ 14.
№ 20.
№ 19.
№ 8.
№ 18.
№ 13.
№ 2.
№ 6.
№ 3.
№ 16.
№ 15.
№ 5.
№ 17.
Emilia
MPG
Dubeltowy batyst
Pojedynczy batyst
№ 4.
№ 9.
KÓŁKO
DOMOWE
na Miesiąc Sierpień 1864 r.


№ 24
№ 30
№ 31
№ 34
№ 39
№ 38
№ 27
№ 33
№ 29
№ 21
№ 40
№ 22
№ 23
№ 41
№ 32
№ 35
№ 28
№ 25
№ 36
№ 37